Nr. 4 (1100). Warszawa, dnia 12 (25) Stycznia 1902 r. Rok XXII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. **2**, rocznie rb. **8**, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. **2** kop. **50**, rocznie rb. **10**.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od godz. 11 do 12 rano.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

OKLASKI W WESTMINSTERZE

Stał się fakt w dziejach parlamentaryzmu angielskiego niesłychany: mowę tronową d. 16 b. m. przerwały królowi Edwardowi oklaski. Sztywną, zimną, całym aparatem średniowiecznym zmechanizowaną ceremonię zagajenia Izb poruszało i rozgrzało drgnienie serc ludzkich. Gdy się pojawił Chamberlain — może w rozmyślnem opóźnieniu — powitała go salwa oklasków i okrzyków. Niezawodnie była to manifestacya za nim, ale była też manifestacya przeciwko Niemcom. Nie zaciętego wroga Boerów, podżegacza i współtwórcę wojny południowo - afrykańskiej przyjmowano takim niepamiętnym, angielskiemu *cantowi* urągającym, zapałem, ale mówcę z Edinburga w zimie r. z. i mówcę z Birminghamu z d. 11 b. m. W stolicy Szkocyi minister od Transwalu, broniąc dobrej sławy okrucieństw angielskich względem Boerów, oskarżył był Niemców o gorsze okrucieństwa podczas najazdu Francyi w r. 1870—1 i przyrównał ich nieledwie do barbarzyńców; w mieście przemysłowem Anglii odpowiedział na ostrą replikę Bülowa w sejmie niemieckim, jeszcze w grudniu r. z., potwierdzeniem oskarżenia edinburskiego, jakkolwiek formalnie miał ten występ krasomówczy być załagodzeniem sporu o to, czego po jednej i po drugiej stronie rzeczywiście dokonała wola, a co zetrzeć usiłował posłuszny jej zawsze język.

Oklaski westminsterskie są manifestacyą narodową. Nienawiść Anglików ku Niemcom przemówiła tym objawem uznania dla Chamberlaina. Oddawna się już na nią zbierało. Naganowski w liście do *Gazety Polskiej* datuje ją latami całemi. Najnowsze uwikłanie się Niemców we współczucie dla Boerów, tak zgoła nieprzypadające do ich obecnej psychiki politycznej, musiało tę przez długi czas nasypywaną minę podpalić. Jest w Angliku do Francuza trwała wiekowa niechęć, ale jest i usposobienie do delikatnego z nim obejścia się, gdy interes nie nakazuje walki. W stosunku do Niemca, takim jaki się pod wpływem rozdrażnienia tej zimy ukształtował — jest miejsce tylko na drwiny, na gniew poważny i nienawiść, która nie rychło przeminie, a w kraju, gdzie wszyscy żyją nietylko w statystyce, raportach policyjnych i kwitach podatkowych, ale rzeczywiście w państwie, gdzie większość na razie panująca w narodzie, panuje też i w rządzie — nie może być bez wpływu i na politykę. Nietylko owe oklaski, ale cała skrzętna działalność, przedmiot i ton artykułów, cały regestr dziennikarskiego organu — wskazuje całą głębokość i powagę rozdrażnienia, które mogło się doskonale obyć i istotnie się też obyło bez obrachunku sumienia i pokuty. A choćby nawet! Mnie wolno — a tobie zasię. Ostatecznie mowa kanclerza dla dumy angielskiej, dla prawowitej nawet miłości własnej, musiała mieć i ma taki skutek, jak pogłaskanie zgrzebłem.

Dzienniki w Anglii pracują teraz nad przekonywaniem swych czytelników, że obowiązkiem ich jest nienawidzieć Niemców. Odgrzewają nawet stare rzeczy, stare przestępstwa niemieckie, aby niemi podsycić nienawiść angielską. Najpoważniejsze pisma zarządzają dochodzenie: jakieby towary niemieckie można zbojkotować, a olbrzymią istotnie wartość inwekty z Niemiec, wielkimi komentarzami opatrywaną, zachęca każdego poważnego publicystę, stykającego się ze statystyką, do usilnej pracy. *Times* od jakich dwu tygodni prowadzi katalog wszystkich oszczerstw, drwin, krzywd pisanych i rysowanych, jakich dopuścili się Niemcy w latach ostatnich. To wydawnictwo, obyczajom angielskim przeciwne, treścią swoją nieraz nawet wstyd obrażające przez to samo już, że je najpoważniejszy dziennik angielski podejmuje, dowodzi natężenia tej panującej dziś w Anglii namiętności międzynarodowej. Zapewnienie mowy tronowej, że żołnierz angielski w Afryce odznaczył się szlachetnością uczuć, wzmacnia jeszcze nastrój, a odpowiedź Balfoura w parlamencie, że rząd nie widzi żadnej potrzeby cokolwiekbądź w mowie Chamberlaina zmieniać — jest już uprawnieniem nienawiści narodowej przez państwo.

Na stosunkach między obu mocarstwami, między ich rządami i nawet między panującymi, rzecz prosta, musiał się ten pojedynek dwóch ministrów-krasomówców odbić szkodliwie. Ks. Walii miał jechać do Berlina na urodziny, z całą naiwnością niewinnym takim aktom właściwą; zagrodził mu drogę opór gabinetu, wywołując potrzebę umyślnych rokowań, w których ze strony niemieckiej postawiono niezawodnie żądanie przeproszenia, przyjęte takiem samem żądaniem ze strony angielskiej. Jeżeli

uroczystość przeminie bez księcia, będzie to już wyraźny dowód naprężenia. Walka dwu ministrów staje się walką dwu dyplomacyi. Zapewne, zręczność i nastrój psychiczny, dający przemoc, kierowane interesem, ostatecznie sprawę rozwiążą; nie zdołają jednak przy rozwiązywaniu jej całkiem wyzwolić się z pod uczuć, tak powszechnie, z taką natarczywością przejmujących oba narody. Jeżeli po liście, który przed dwoma tygodniami nadszedł do Londynu z Berlina, od samego cesarza Wilhelma, niema dziś jeszcze skutku uspokojenia, służyć to powinno za wskazówkę, że nie dziennikarze tylko sami pocierają zapałki i zapalają ognie. Wieść o podaniu się kanclerza Bülowa do dymisyi, błaha jako wieść, zasługuje wszakże na uwagę jako symptomat opinii, jako fakt psychologii tłumów. Prócz zadarcia już na ostro jest w niej i przewaga moralna Anglii, która cofać się nie chce, skoro cofa się Bülow. Trochę za wysoko celował.

Rozprawy polskie w Sejmie pruskim.

Przypominają sobie zapewne czytelnicy, że hr. Bülow odmówił w Sejmie Rzeszy odpowiedzi na interpelacyę w sprawie wrzesińskiej. Jako stróż-anioł porządku prawnego, nie może dopuścić, aby wbrew ustawie konstytucyjnej, zaprzątano posłów całych Niemiec jakąś drobną sprawą domową państwa pruskiego. Aby nie obudzić podejrzenia, iż chociażby w sposób bierny popiera gwałt, dokonywany nad porządkiem dziennym sejmu Rzeszy, kanclerz opuścił demonstracyjnie Izbę ustawodawczą, ale przyrzekł swym przeciwnikom, iż zobaczy się z nimi pod Filippi, t. j. w sejmie pruskim. Sejm Rzeszy wszakże, nie troszcząc się o brak tak cennej dekoracyi osobistej jak obecność kanclerza, wziął pod obrady sprawę wrzesińską, a większość ciała poselskiego, pomimo, iż przedstawiciele nie wszystkich jeszcze stronnictw zabrali głos, napiętnowała wyrok wrzesiński i system pedagogiczny Wintera, jako gwałt i samowolę. Zwłaszcza sympatyczna mowa Ledeboura wywarła silne wrażenie, jako szlachetny głos sumienia narodowego.

Wobec tego rozprawy w sejmie pruskim były wprost zbyteczne, gdyż z góry można było przewidzieć jaki obrót przybierze tam sprawa polska. W instytucyi tej większość składa się z lizusów narodowo - liberalnych i brutali junkierskich, których można podejrzewać o wszelkie cnoty z wyjątkiem poczucia sprawiedliwości i humanitarności. Lud w prawdziwem tego słowa znaczeniu, nie wysyła tu ani jednego posła, albowiem nie chce poddawać się upokarzającej procedurze wyborów na podstawie systemu trójklasowego. Opozycyę stanowi tu wymierający i anachronistyczny ród liberałów, który chce zbawić świat za pomocą platonicznych wyrazów: „prawda, dobro i piękno“ i poczytuje rządowi niemieckiemu za największą zbrodnię, iż nie mianuje ministrami... wolnomyślnych, którzy prawdopodobnie pod względem giętkości karku zatknęliby za pas szlachtę pruską najczystszej wody.

Na porządku dziennym figurowały dwie interpelacye „polskie.“ Obydwie apelowały do serca rządu pruskiego. Jedna brała w obronę uciskaną ludność... pruską w imieniu narodowych liberałów, druga zapytywała rząd azali wobec zajść wrzesińskich nie uważa za stosowne, dla dobra ogółu cofnąć swych rozporządzeń dotyczących wykładu religii w szkołach ludowych dzielnic zamieszkiwanych przez ludność mieszaną.

Interpelacyę mięczaków uzasadnia poseł gdański, Hobrecht. Wprawdzie w prowincyach wschodnich polskość bynajmniej nie wzrosła (Słuchajcie! wołanie wśród centrum) ale agitacya polska wzmogła się. Co innego Austrya ze swą zasadą równouprawnienia narodowego, a co innego państwo niemieckie, którego potęga polega na jednolitości politycznej. Bezwarunkowo należy uznać prawowitość dążeń polskich, zmierzających do zachowania nietykalności rodziny, religii i języka. Z tego punktu widzenia bynajmniej nie powinny budzić śmiechu zeznania Polki, wierzącej, iż Matka Boska rozmawia po polsku. Ale nie trzeba zrzekać się z tego powodu niemieckiego wykładu religii, a interpelacya narodowo-liberalna ma na celu uzyskać od rządu zapewnienie, iż nie cofnie się ze swej dotychczasowej polityki względem Polaków. Gdy przebrzmiała skarga Hobrechta, przejętego obawą o losy uciskanej i bezbronnej niemieckości, wstąpił na mównicę lojalny ks. Jażdżewski, ten sam, który protestował przeszłego roku w sejmie pruskim przeciwko temu, jakoby solidaryzował się z „warchołami i podżegaczami,“ budzącymi ruch polski na Śląsku. Gdy proboszcz Glowatzky z centrum nazwał Ślązaków Prusakami, mówiącymi po polsku, ks. Jażdżewski zapomniał języka w ustach i jakby potakując nowemu odkryciu etnograficznemu, w sposób wymowny milczał. Teraz mówca polski usiłował przedstawić zgodnie z prawdą wypadki wrzesińskie, przyczem pozwolił sobie zaznaczyć, iż Temida niemiecka po wyroku zapadłym w głośnej sprawie, powinna była zasłonić sobie ze wstydu twarz. Ten zwrot mitologiczny tak przestraszył prezydenta sejmu, iż przywołał polskiego proboszcza za alegoryę rewolucyjną do porządku. Na zakończenie ks. Jażdżewski powołał się na traktat wiedeński i obiecankę — cacankę Fryderyka Wilhelma III.

Tu wzeszło słońce ministeryalne: zabrał głos kanc. Bülow, aby wypowiedzieć wielką mowę programową w sprawie „kursu polskiego.“ Oczywiście za punkt wyjścia obrał Wrześnię, gdzie nikomu się nie działa żadna krzywda, pomimo iż ludzie złej woli nietylko rozdęli sprawę, ale nawet usiłowali wywołać z tego powodu powikłania międzynarodowe, co — jak zapewniał tryumfująco — zupełnie się im nie udało. W procesie padło wprawdzie kilka ofiar, ale bynajmniej nie z ręki Bogu ducha winnego rządu, lecz niecnych agitatorów. Rząd pruski nie myśli zupełnie o tem, aby pozbawiać Polaków ich języka ojczystego. Nie zabrania im posługiwać się mową macierzystą w czterech ścianach swego mieszkania i życiu towarzyskiem. Ale musi dbać o to, aby mogli korzystać ze zdobyczy kultury niemieckiej.

Przedewszystkiem zaś zastrzega się przeciwko temu, jakoby rząd pruski chciał wyrządzić krzywdę religii katolickiej. Polskość a katolicyzm są dwie rzeczy odrębne. Dla Bülowa niema ani protestantów, ani katolików, lecz istnieje tylko naród niemiecki. „Zapewniam was, jako człowiek uczciwy—wołał kanclerz, zwracając się ku centrum, wciąż jeszcze udającemu sprzymierzeńca polskiego — iż ani mi na myśl nie przychodzi upośledzać (zurücksetzen) religii katolickiej nawet w krajach dawniej polskich; każdemu życzę, aby zachował religię, w której się czuje dobrze i spodziewa zyskać wieczną szczęśliwość; ale jeśli jestem sprawiedliwym i liberalnym w sprawach wyznaniowych, to w kwestyach narodowościowych nie znam żartu.“ Na Wschodzie toczy się walka nie o religię, lecz o poczucie prusko - państwowe i świadomość narodowo-niemiecką. Tu mówca zaczął kreślić zmiany zaszłe, w prowincyach wschodnich.

Niegdyś w dzielnicach tych rej wodziła szlachta, stojąc na czele „agitacyi polskiej.“ Biedny lud wiejski i miejski nie brał w życiu politycznem żadnego udziału. Dopiero dzięki konstytucyi i administracyi pru-

4)

M. Grossek.

SERCE.

Obszedłszy dokoła ogródek, weszły panie na werendę, gdzie zastały Serafinę, zajadającą mleko w otoczeniu całego zwierzyńca, który się także pożywiał przy tej sposobności. Dwa wielkie, żółte psy przysiadły na tylnych łapach, na rozłożonej na ziemi sukni swej pani, ogonami biły w podłogę, nieruchomo wpatrując się w jej oczy. Koty darły się jej na ramiona, ogonami mażąc ją po twarzy.

Wszystko sprowadzało roje kąśliwych owadów i zakażało powietrze, wywołując ze strony gości mniej więcej wyraźne objawy niezadowolenia, na które jednak Serafina nie zwracała uwagi. Na domiar złego przywlekła się jeszcze jedna psina nędzna i chora, Filuś, posądzony mocno o nosaciznę, który miał szczególny przywilej lizania ręki pani, i wysiadywania w dzień na jej kolanach, a sypiania z nią w łóżku w nocy. Wówczas jednak Stanisław, który dla zwierząt miał dobre serce, nie chcąc robić gościom przykrości, kazał psy wszystkie wyprowadzić. Serafina musiała wyjść pierwsza, by tej trudnej sprawy dokonać.

Była z tego zresztą rada, gdyż jeszcze dzisiaj nie zrobiła choremu psu opatrunku. W jej pokoju stały gotowe smarowidła i bandaże, które wyniosła na podwórze, i otoczona rzeszą kudłatych przyjaciół usadowiła się na piasku. Wtem z kuchni wypadła do niej rozzłoszczona kucharka.

— Szczo wy pani zduriły? — roboty do czorta, a ony siły w pisku hratyś z sobakami, jak detyna.—Zaklęła, splunęła i poszła.

Serafina uśmiechnęła się figlarnie.

— Niech się tam sobie pozłości!—mruknęła, robiąc swoje. Skończywszy opatrunek i napieściwszy się z resztą przyjaciół, poszła wreszcie do kuchni.

W sieni spotkała pokojówkę, Kiełynę. Przed rokiem wzięła ją ze wsi do hodowania karmników. Dziewczyna pojętna z natury, czuła zawsze wielki pociąg do swej pobłażliwej, szczodrej pani, tylko do roboty nie brała się wcale.

Zrazu szeroko otwartemi, przezroczystemi oczami wiejskiego dziecka wpatrywała się w Serafinę z takiem zdziwieniem, jakby dokoła jej twarzy widziała aureolę z kościelnych obrazków. Po roku stępiał zachwyt i poczucie, że doświadcza łaski; zahukane chamskie dziecko przyzwyczaiło się prędko do delikatności, cud przeistoczył się w zwyczaj, naiwność, osądziła, że tak być powinno. I Kiełyna patrzyła już na swą panią z filozoficzną obojętnością chłopską. Motra, kucharka, wyrabiała w nie rutynę:

— Pokiń, broś, siad' sobi—ona wse sama zrobyt', durnaja.

W kuchni, na wysoko usłanem łóżku, którego poduszki piętrzyły się pod powałę, kucharka Motra otoczona brzęczeniem niezliczonych rojów muszych, siedziała, brodę podparłszy jednym palcem, nadęta, gniewna.

— Pokienu, broszu, ne choczu! Na czorta mini taka służba—mówiła głośno do siebie dla udręczenia Serafiny, która kładła drwa pod blachę i skubała ptactwo ze spo-

skiej — wykładał dalej kanclerz swą domorosłą historyozofię — powstało mieszczaństwo z prochu nicości i ujęło w ręce swe ster „agitacyi.“ Gdzie tylko spojrzeć, wszędzie roi się od polskich lekarzy, adwokatów, kupców i rzemieślników. Każda opróżniona przez Niemca posada, wypuszczony przezeń z ręki majątek wcześniej czy później przejść muszą do Polaka. Polskie banki kolonizacyjne popierają ruch ten, który — przysięgał mówca — idzie zgodnie z dążeniami, zmierzającemi do przywrócenia *status quo ante* 1772 roku. Kanclerz odczytał przy tej sposobności sprawozdania dwu naczelnych prezydentów, które stwierdzają jego własne poglądy — nota bene, jeśli akty te przyjmiemy z prawdziwem łakomstwem hakatystycznem bez szczypty soli. Dokumenty usiłują wykazać, w jaki sposób Polacy zagarniają stopniowo grunt rolny i wypierają Niemców. Hr. Bülow wyraził, co prawda, swe gorące ubolewanie, iż stosunki przybrały tu charakter bojowy. Ale wina jest oczywiście po stronie polskiej, jako napastującej. „Niestety — wołał mówca z patosem — nie żyjemy w raju, lecz na tej nieszczęsnej ziemi, gdzie można być albo młotem, albo kowadłem.“ W myśl tej mądrości życiowej, zaczerpniętej z fachu kowalskiego, Niemcy muszą się „bronić.“ Na czem mianowicie będzie polegała taktyka obronna rządu niemieckiego? Otóż naprzód za pomocą opieki ekonomicznej postara się rząd powstrzymać odpływ Niemców z prowincyj wschodnich, albowiem przybrał on charakter ucieczki epidemicznej. Pomimo iż Niemcy utrzymali w swem posiadaniu przeszło połowę wielkiej własności ziemskiej w Poznańskiem, wpływ ich tu jest faktycznie bardzo słaby wskutek ich rozproszenia, a co gorsza — absenteizmu. Zaludniając żywiołem niemieckim wieś, rząd będzie dążył jednocześnie do rozbudzenia życia przemysłowego, kulturalnego i towarzyskiego w miastach. Mieszczaństwu polskiemu przeciwstawi się niemiecki stan średni.

Po za tem stworzy się nowa klasa urzędnicza, która bez ducha biurokratycznego, w myśl jedynie swego powołania, będzie stała na straży interesów niemieckich. Ażeby urzędników tych przywiązać do ich posterunków, nada się im na Wschodzie szereg przywilejów. Dalej powoła się do życia instytucye nauki i oświaty. Obok muzeum i biblioteki, założonych w Poznaniu, oraz teatrów niemieckich w Poznaniu i Bydgoszczy, powstanie instytut chemiczny w Poznaniu i szkoła agronomiczna w połączeniu z biblioteką w Bydgoszczy. Rząd przypuszcza, iż *tymczasem* wystarczą środki legalne, nieprzekraczające ram konstytucyi. Nie myśli jednak wiązać się pod tym względem na przyszłość. Rząd nie chce ograniczać praw obywatelskich tej lub innej narodowości, zamieszkałej na terytoryum pruskiem, ale jest pewna granica, gdzie ustają wszelkie względy nieograniczonej tolerancyi, mianowicie interes monarchii i narodowo-niemiecki.

Usiłowano poddać w wątpliwość wogóle prawo państwa pruskiego na prowincye wschodnie, jak gdyby Poznańskie i Prusy zachodnie nie były zdobyte za pomocą miecza przy Waterloo i w innych bitwach. Czyż można wyobrazić sobie świętsze prawo! — wołał ścisły historyk i humanista. Wszelkie tego rodzaju niesłychane pretensye są skutkiem pobłażliwości niemieckiej, o czem świadczy chociażby taki wypadek, jak demonstracya studentów polskich w uniwersytecie berlińskim. Zresztą Polacy powołują się nietylko na prawa historyczne ale i etnograficzne. Gdyby im oddano Poznańskie i Prusy zachodnie, to z pewnością zażądaliby z powrotem Śląska i Prus wschodnich. Pogląd ten poparł hr. Bülow anegdotką, która miała uzmysłowić Teutonom raz na zawsze, w jak bezwzględny sposób Polacy atakują Niemców i odbierają im całe terytoryum państwowe krok za krokiem. Otóż pewnego razu demokratyczny poeta niemiecki, Kinkel, miał rozmowę z hr. Platerem. Kinkel, który podług hr. Bülowa oczywiście był marnym politykiem, chciał pogodzić prawa polskie z niemieckiemi. W toku rozmowy polski hrabia okazał się jednak tak nienasyconym i zaborczym, iż poeta, widząc Niemcy zupełnie ogołoconemi, zawołał w rozpaczy:[1] „Ależ, panie hrabio, zwróć mi pan przynajmniej Królewiec!“ Bezlitośny hrabia jednak oczywiście nie myślał wypuszczać z rąk Królewca, zabranego poecie.

Zdemaskowawszy w ten sposób Polaków wobec całego świata, hr. Bülow zaapelował do wszystkich Niemców, mieszkających na Wschodzie, radząc, aby nie tracili nadziei i humoru.

Nie będziemy się tu dłużej zastanawiali nad antypolskiem *pronunciamento* hr. Bulowa. W każdym razie nie ulega wątpliwości, iż działa takiego kalibru, jakie wytoczył na pole bitwy parlamentarnej kanclerz Rzeszy niemieckiej, nie są zwykłą demonstracyą wojenną, a tem bardziej paradą, lecz zapowiedzią wojny, albo raczej zwrotu ku nowej, obostrzonej taktyce.

Co smutniejsze, nietylko tradycyjna większość sejmu pruskiego, tak zwane filary ładu i porządku, stanęła po stronie kanclerza, ale przyłączyli się do niej nawet ci, którzy niekiedy mają odwagę oponować i krytykować rząd pruski. Liberałowie np. oświadczyli, iż nie życzą sobie ucisku polskości, ale nic nie mają przeciwko wzmocnieniu pierwiastku niemieckiego. W tym samym duchu była odpowiedź centrum katolickiego. Poseł Fritzen powiedział komplement kanclerzowi za to, iż zawiesił chłostanie dzieci we Wrześni, wyraził dalej swą obawę, iż hakata przynosi szkodę katolicyzmowi, wskutek czego nie może zyskać sympatyi centrum, ale zaśpiewał hymn na cześć kultury niemieckiej. Ma on wprawdzie szacunek i dla kultury polskiej, ale niemiecka jest potężniejszą i szerszą, a zatem należy zaszczepiać ją Polakom dla ich własnego dobra. Z tej racyi centrum cieszy się niewymownie, iż rząd chce wyznaczyć nowy fundusz na wzmocnienie niemieckości na Wschodzie.

Z posłów polskich, którzy jeszcze zabierali głos, mowa L. Czarlińskiego była płomiennym protestem przeciwko barbarzyństwom krzyżackim. *F.*

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Król Edward zagaił parlament na krótkotrwałe narady d. 16 b. m. Mowa tronowa stwierdza szlachetność żołnierza angielskiego, tęskni do końca wojny, raduje się z dobrych stosunków z mocarstwami, uspakaja obawy o kanał przez przesmyk amerykański, zapowiada projekty prawodawcze. Izby uchwaliły adresy, lordowie na poczekaniu. Rozprawy toczyły się około mów Chamberlaina i Bülowa, wojny i pokoju w Transwalu, gotowości wojennej, potęgi moralnej i politycznej wielkiego imperyum Brytańskiego.

We Francyi również zebrały się Izby jeszcze d. 7 b. m. Deschanelles wybrany na prezesa deput. ponownie. Interpelowano rząd o Armenię, o egzekucyę w Mytilene, o pośrednictwo do sądu w Hadze w sprawie Boerów. Delcasse i Bourgeois umieli rumaka szlachetnych porywów okiełznać: polityka nie zna uczuć jako sił rozpędowych: Boerom wolno upaść, a Armeńczykom—cierpieć.

Tageblatt berliński podał treść okólnika arcb. Stablewskiego. Ma to być upomnienie, aby księża nie uczestniczyli w wiecach niezajmujących się bądź kościołem, bądź szkołą, a nawet i takich się strzegli, o ile-by zbyt radykalnemi były. Język—rzecz dobra, ale w miarę, jak to papież do arcb. Skrebeńskiego napisał. W każdym wystąpieniu księżem powinno być mocno zaakcentowane posłuszeństwo dla kościoła i dla władzy. Sekretarz prywatny arcybiskupa wypiera się okólnika.

Dzienniki dużo piszą o nowem ułożeniu się mocarstw w przymierza: potrójne już jakoby

---

kojem osoby, pełniącej swą powinność i tylko od czasu do czasu łagodziła zagniewaną swą zwierzchność:

— Daj spokój, Motro — bądź już raz cicho.

— Je tu pani? — huknął nagle za oknem zacietrzewiony Stanisław i wpadł zamaszyście do kuchni.

— Cóż to? kolacyę myślicie dać chyba jutro? oszalała, czy co Serafina? Tam w domu nieład, chaos, nieporządek; talerze z ogryzkami wszędzie!... no, gdzieżeś ty była?

— Sam-żeś, moje dziecko, puścił Kiełynę na spacer,

— A! to co innego, Kiełynę głowa boli.

Wtedy Motra opowiedziała panu, jak znalazła panią w piasku, bawiącą się z psami i ledwie ją ztamtąd uprowadziła,

Stanisław po żołniersku nogi rozstawił, spojrzał na żonę z góry, jakby ją chciał zmiażdżyć i do ziemi wzrokiem przybić, ramiona rozpaczliwie do góry podniósł i wzywał niebiosa na świadectwo, że „ta kobieta jest waryatka.“ Długo biegając w kółko, żżymał się, rzucał i fukał na krzątającą się cicho. Tylko jego filuterne, zawsze śmiejące się oczy łagodziły tę scenę i znaczenie wyrazów.

— No, patrzcie się — można było w nich czytać — jaka ona zabawna!.. sto pociech mam z tą kobietą... istny bachor!.. Ja niby to sobie na nią tak krzyczę... a w gruncie rzeczy to złota kobieta! Ale na kobietę trzeba od czasu do czasu pokrzyczeć — oho! ho!.. bez tego nic nie będzie.

Naprzód, aby nie rdzewiało prawo mężowskie, o które mężczyzna tem jest zazdrośniejszy, im z charakteru słabszy, a powtóre jeśli jest dobrą... potrzeba krzyczeć, aby była lepszą.

I to jest logika ogółu.

Bo i ci konwencyonalni poczciwcy naciągają dobroć, jak szewc skórę; robią to wprawdzie ostrożnie, oglądając się, czy już gdzie nie pęka; ale ciągną do ostateczności. Jakże mało jest takich, którzy sami sobie stawiają granice moralne, po za któremi dobroci tej wyzyskiwać nie próbują i nie pozwalają.

Oo!.. bardzo mało.

Zresztą Kucz z amatorstwa sprawiał sobie takie publiczne sceny z żoną. Wodził wtenczas oczami po obecnych, czy dość silne wrażenie wywiera na nich ten małżeński majestat i powaga.

— Widzicie przecie, że ja tu pan a nie żaden pantofel!..

Może tym sposobem usypiał niejasne, nurtujące go wewnątrz poczucie, że się znajdował całkiem pod jej wpływem?..

To zwycięztwo moralne istoty słabszej fizycznie i hierarchicznie, a z charakteru potulnej, dokonywało się bez jej woli i wiedzy. Ona swój wpływ rzucała biernie, jak lampa, oświetlająca pokój, nadaje otoczeniu ton i zabarwienie własne.

Mechanika sił moralnych posiada te same prawa, które są znane w fizyce. I tu i tam zwycięztwo jest absolutnie konieczne; dokonywa się bez oporu, bez szarpań i zmagania się stron — i bez ich świadomości. Jest to suma algebraiczna, w której znoszą się równe plusy i minusy. Wyższość moralna panować będzie nawet wbrew swej woli!

Kucz przejmował się żoną, upodabniał się do niej, a przekonany głęboko, że działa samoistnie, że jest twórcą swych pomysłów i czynów, dyktatorem w domu, czuł jednak i postępował w kierunku, w którym

przepadło. Latawce — puszczane przez gadulstwo.

W. Bułgaryi od początku roku dysonans. Zgromadzenie Nar. nie chciało się zgodzić na pożyczkę; książę je rozwiązał. Nowe ma być powiększone o 22 posłów do liczby 189.

Taryfa niemiecka pobudza Węgrów do oporu o cła z Austryą. Chcą własnej polityki handlowej.

Kuba żąda od swej opiekunki zniżenia ceł na tytuń i cukier.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY PETERSBURSKIE.

XI Zjazd lekarzy i przyrodników.

Przed kilku dniami w Petersburgu zamknięto zjazd lekarzy i przyrodników — nauczycieli. Program jego był tak obszerny, poruszono tyle spraw doniosłych, połączonych z warunkami istnienia wielkich mas ludności, że narady te nabierają znaczenia ogólnego i powinny zająć każdego, kto się troszczy o dobro powszechne.

Między innemi w zjeździe brał udział prof. Wicherkiewicz, delegat Akademii Jagiellońskiej. Przemówienie jego w języku polskim wygłoszone, przełożył zebranym po rosyjsku prof. Menszutkin. Już podczas zjazdu w Paryżu prof. Wicherkiewicz, jako delegat do komitetu słowiańskiego i jego wice-prezes, zaprojektował, ażeby lekarze rosyjscy wyrobili u rządu prawo obywatelstwa innych języków słowiańskich na stałych zjazdach lekarzy i przyrodników, na wzór regulaminu zjazdów polskich i czeskich. Obecnie tę sprawę ponownie poruszono. Na wniosek prof. Wicherkiewicza postanowiono wydawać *Revue générale medicale Slave*. Prócz tego wybrano komisyę do dochodzenia źródłosłowów wyrazów lekarskich, używanych u rozmaitych narodów słowiańskich, w celu możliwego ujednostajnienia słownictwa lekarskiego.

Akademik Famincyn mówił o dwu zadaniach naukowych: międzynarodowej bibliografii w zakresie nauk przyrodniczych i matematyki i o międzynarodowym związku akademij nauk. Pierwsza sprawa wynikła z inicyatywy Towarzystwa królewskiego w Londynie, które w r. 1894 zaproponowało towarzystwom naukowym przyczynienie się do spisu bibliograficznego wszystkich prac naukowych, jakie tylko istnieją lub się pojawią na kuli ziemskiej. Propozycyę tę przyjęto z powszechnem uznaniem. Między innemi do Towarzystwa królewskiego przyłączyła się obecnie także rosyjska Akademia nauk. Komisya powołana w tej sprawie, stworzyła osobne biuro bibliograficzne pod przewodnictwem akademika Famincyna.

Projekt związku akademii wyszedł z inicyatywy towarzystw naukowych w Londynie, Lipsku i Getyndze. Głównym celem tego zjednoczenia jest doprowadzanie do skutku takich przedsięwzięć naukowych, które przekraczają siły instytucyi pojedynczej. Na zebraniu związku zapadła zgodna uchwała wydania prac Leibnitza. Sprawę tę powierzono osobnej komisyi międzynarodowej. Liczba delegatów każdej akademi jest nieograniczona, przy tem mogą być inni, nawet ludzie nie należący do instytucyi. Dzięki temu, każdy uczony ma wyborną sposobność do wypowiadania swoich projektów.

Sekretarz zjazdu petersburskiego prof. Borgman, zapoznał obecnych ze sprawą związku przyrodników i lekarzy w obrębie Rosyi. Projekt ten był roztrząsany przez osobne sekcye. Ostatecznie komitet przyszedł do następujących wniosków: 1) Prosić p. ministra o zatwierdzenie nazwy „asocyacya" albo ostatecznie o zastąpienie jej nazwą: „Związek przyrodników rosyjskich," 2) starać się o to, ażeby członkami zjazdów, bez prawa głosu, mogły być także osoby nienależące do towarzystw naukowych, ale zajmujące się nauką.

W sekcyi medycyny naukowej p. L. Bertenson przeczytał referat w sprawie normowania dnia roboczego w dziedzinach szczególnie szkodliwej produkcyi. Istniejąca dotąd w obrębie państwa norma 11½ godzin roboczych, wogóle nadmierna, jest zabójczą tam, gdzie się prowadzi produkcya wyraźnie szkodliwa dla zdrowia robotników. Z tego powodu mówca żąda niezwłocznego zmniejszenia godzin pracy. Pierwszym krokiem, zmierzającym do obmyślenia i zastosowania środków prawodawczych, powinno być utworzenie spisu fabrykacyi szkodliwych; przyczem te, które ze względu na wielkie niebezpieczeństwo dla zdrowia ludzkiego, nie dopuszczają kobiet i dzieci, powinny stanowić osobną grupę. Ze względu na to, iż we wszystkich fabrykach, zakładach przemysłowych i przedsiebiorstwach prawie wcale dotąd nie pomyślano o środkach bezpieczeństwa co do zapobiegania chorobom zawodowym, skrócenie dnia roboczego powinno być tem bardziej zastosowane w zakładach prowadzących produkcyę szkodliwą. Dalszym krokiem prac przygotowawczych w sprawie normowania dnia roboczego powinno być gruntowne zbadanie techniki przemysłowej ze stanowiska zdrowotności i warunków pracy. Następnie, po zebraniu odpowiedniego materyału, należy przystąpić do opracowania przepisów prawnych.

Środki ostrożności nie mogą być zamknięte w ciasnych ramkach, lecz powinny mieć na względzie możliwie najszersze sposoby usuwania niebezpieczeństw na drodze udoskonaleń technicznych. Prawidłowe i trafne normowanie dnia roboczego jest niemożliwe bez pomocy hygieny i nauki lekarskiej. Dla tego też w opracowaniu przepisów odpowiednich powinni wziąć udział nie tylko technicy i przemysłowcy, ale także i lekarze. Przy fabrykach i zakładach przemysłowych powinni być stali lekarze-sanitaryusze, utrzymywani przez fabrykantów, lecz całkiem niezależni, jak w Angli, z szerokim zakresem działalności, w charakterze członka inspekcyi fabrycznej.

Wynikiem odczytu p. Bertensona było następujące postanowienie: poczynić zabiegi u władz właściwych o niezwłoczne skrócenie dnia roboczego w fabrykach i zakładach, uprawiających produkcyę szczególnie szkodliwą; o wprowadzenie warunków zapobiegawczych za pomocą ulepszonych urządzeń technicznych.

W sekcyi statystyki bardzo ciekawy odczyt wygłosił D. Rychter o zbadaniu przyczyn i rozmiarów upadku ekonomicznego dzielnic czarnoziemnych środkowego pasa Rosyi europejskiej. Gubernie, nazywane niegdyś spichlerzem, dzisiaj coraz bardziej upadają ekonomicznie. Zaległość podatkowa wynosi 177% urodzaj zbóż zniżył się o 33%: liczba koni w ciągu pięciu lat zmniejszyła się o 40%. Dochody państwowe wynoszą 106 milionów, a więc pod tym względem gubernie owe zajmują piąte miejsce w Rosyi. Dla wyjaśnienia przyczyn tego groźnego upadku, należałoby przeprowadzić ścisłe badania miejscowe, do których trzeba powołać między innymi agronomów, gleboznawców, meteorologów, lekarzy itd.

W sekcyi agronomii p. Szczusjew wygłosił odczyt o rozszerzeniu wykładów agronomii w uniwersytetach. W sekcyi hygieny dr. Pollak mówił o usuwaniu z miast odpadków domowych, jako bardzo niebezpiecznych dla zdrowia ludzkiego. W jednym sześciennym litrze tych odpadków znajduje się około 10 miliardów bakteryj. W Warszawie na 700,000 ludności gromadzi się rocznie 10 milionów pudów śmieci. Prelegent zaleca palenie jako sposób najlepszy. Bardzo ważną sprawę po-

---

go popychały, idące od niej, nieskończone suggestye. Różniąc się psychicznie w motywach, ze strony zewnętrznej byli uderzająco do siebie podobni: ich postępowanie powlekał jeden pokost.

Serafina w sferze zjawisk moralnych miała stanowczą nad mężem przewagę. Narzucając mu swoją indywidualność, sama od niego nic nie przyjmowała — niepodległą, a nawet samotną była moralnie. Posiadając wątły pozór trzcinki, miała jej upór i sprężystość; ulegając co chwila różnym powiewom obcej woli, nie dała się żadnej z nich skrzywić i nałamać— w każdej chwili odnajdywała swój własny kierunek prosty — ku niebu.

. . . .

Zdawało się czasem, że twarz Serafiny na jedno mgnienie przeistaczała się zupełnie. Usta jej wówczas kurczyły się smutnie, z wyrazem znękania i starości, ręce opadały ruchem zniechęcenia, a szeroko otwarte oczy patrzyły przed siebie nieruchomie, jak oczy dziecka, które nie śmie się rozpłakać. Wyraz ten, pojawiający się zawsze, ilekroć egoizm, wyzyskiwanie, brutalstwo i niewdzięczność ludzka do żywego ją dojęły — był dla psychologa nader znamiennym i cennym; świadczył o tem, że nie była nieświadomą stosunku swego do ludzi; że pojmowała, iż rachunki jej ze światem regulowały się z grubą jej stratą..

Nie była więc, jak mniemano ogólnie, „nieinteligentną." Bardzo być może, że brakowało jej rozwiniętej świadomości, która kontroluje uczucia własne i krytykuje stosunki swe ze światem, że o tem, co robi, nie miała sformułowanej idei: „Oto ja świadczę ludziom dobrodziejstwa, a oni mi za to złem płacą; wiem o tem, lecz tak chcę i robię to dlatego i dlatego."

Nie — dobroć Serafiny była instynktem, nie ideą. Ale nie wiedząc może, *co* robi i *dlaczego*, wiedziała doskonale, jaki za to otrzymuje rezultat. A przy ocenie psychologicznej charakteru właśnie ta świadomość ma jedynie ważne znaczenie etyczne.

Był jeszcze jeden rys, charakterystycznie łączący się z poprzednim: ta macierzyńskość obejścia, w stosunku do ogółu ludzi, pozbawioną była zupełnie pieszczotliwości. Nie miała w sobie nic z tych wylewów serca, tak właściwych charakterom kobiecym. Była poświęcająca się pobłażliwa, troskliwa i szczodra, ale jak siostra miłosierdzia, jak święta raczej, niż jak matka. Jej „macierzyńskość" nawet względem własnych dzieci cechowała powściągliwość i powaga. Jak wszyscy ludzie bardzo „ludzcy," Serafina w uczuciach swoich rodzinnych była względnie chłodna. Może jej serce rozpraszało się zanadto, aby mogło skupić się dla kogokolwiek, nagrzać silniej... A może był to objaw urazy żywionej do ogółu ludzi, do ich *rodzaju* — pamiętliwość skrzywdzonego anioła, jego powiewna, subtelna zemsta...

Pieścić się i przymilać, zdrabniać wyrazy i spoglądać zalotnie umiała tylko dla swych zwierząt i kwiatów. Te jedne nie próbowały jej nigdy wyzyskiwać i nie umiały być niewdzięczne.

(C. d. n.).

ruszył p. Lityński o społecznem i państwowem znaczeniu ubezpieczeń na wypadek choroby. Obecna organizacya pomocy lekarskiej jest bardzo niedostateczna. Choroba powinna być traktowana nie jako sprawa osobista, lecz społeczna i państwowa. Wydatki na choroby w znacznej większości wypadków spadają wielkim ciężarem na ludność. Otóż punkt wyjścia z tego położenia prelegent widzi w ubezpieczeniach na wypadek choroby. Na zachodzie Europy asekuracya tego rodzaju istnieje już od dawna i dziś już jest obowiązującą. W Niemczech np. prawu asekuracyjnemu podlega około czwartej części całej ludności. Ponieważ niewątpliwie przyjdzie kolej i na Rosyę, więc tymczasem obowiązkiem lekarzy powinno być uświadamianie ludności, budzenie w niej poczucia potrzeby ubezpieczeń wzajemnych na wypadek choroby, jako środka dobrowolnego.

P. Gregorjew (w sekcyi medycyny naukowej) wystąpił przeciwko używaniu alkoholu przez dzieci. Lekarze powinni być bardzo oględni w zalecaniu go, jako środka leczniczego. Matkom ciężarnym lub karmiącym, jak również dzieciom, alkohol powinien być zalecany przez lekarzy z ostrożnością, jak środek trujący. Zarówno lekarze jak i nauczyciele powinni przy każdej sposobności występować przeciwko niemu i przekonywać ogół o jego szkodliwości.

Profesorowie Kułagin, Tichomirow, Chołodkowskij, pryw. doc. Wagner, Kożewnikow i Makrzucki, udali się do sekcyi zoologicznej z prośbą o rozwinięcie zabiegów za pośrednictwem zjazdu w sferach ministeryalnych o organizacyę systematycznych badań owadów szkodliwych, zależnie od warunków miejscowych lub na specyalnie urządzonych stacyach entomologicznych. Pożądane byłoby stworzenie oddziałów entomologicznych przy naukowych doświadczalnych instytucyach ministeryum rolnictwa. Sekcya postanowiła zająć się szczerze tą sprawą.

Profesor Lewinson-Lessing podał wniosek poczynienia starań o bezpłatne dopuszczenie naturalistów na statki wojenne, odbywające daleką podróż. Sprawę tę postanowiono również wprowadzić w życie i zająć się organizacyą takich wypraw przyrodników.

Ogólne znaczenie mają także niektóre zagadnienia i sprawy, poruszone przez sekcyę geologiczną i mineralogiczną. Mianowicie położono nacisk na konieczność notowania wszystkich dokonywanych w obrębie Rosyi robót świdrowych, tudzież zbierania próbek ziemi, wydobywanej z różnych warstw przy wierceniu studzien artezyjskich. W ten tylko sposób można zebrać dokładne dane o geologicznej budowie różnych miejscowości. Na szczególną uwagę zasługuje referat p. Jabłońskiego, odczytany w sekcyi statystycznej „O mobilizacyi własności ziemskiej w Rosyi.“ Zbadanie ewolucyi własności ziemskiej w okresie 1893—1895, dokonane pod kierunkiem A. Reinbota, prowadzi do następujących wniosków ogólnych: Proces uruchomienia własności ziemskiej najbardziej ogarnia średnią i większą posiadłość — od sta do 10-ciu tysięcy dziesięcin. Znika posiadłość szlachty i cudzoziemców, wzrasta zaś włościańska, tudzież warstw średnich, głównie kupców.

Sprawa nauk przyrodniczych w szkołach zajęła bardzo wybitne miejsce na zjeździe. Wyrażono życzenie, aby ta ważna gałąź wiedzy była wykładana we wszystkich klasach szkoły średniej, bez względu na jej typ. Nadto pożądane jest: stworzenie czasowych, letnich kursów nauk przyrodniczych, zwoływanie zjazdów nauczycieli tej dziedziny, stworzenie przy następnym zjeździe lekarzy i przyrodników sekcyi pedagogicznej. Wykład nauk przyrodniczych w szkołach powinien zawierać dwa szczeble: 1) nauka osobnych dziedzin przyrody (znajomość nietylko przedmiotów, ale zjawisk i praw); 2) poznanie stosunku wzajemnego między trzema dziedzinami przyrody, z wyjaśnieniem systemu świata organicznego i nieorganicznego. Dla rozwinięcia w uczniach zdolności obserwacyjnych i logicznego myślenia, wykłady powinny się zasadzać na podstawach doświadczalno-demonstracyjnych, w klasach i na wycieczkach. Zajęcia pozaklasowe są obowiązkowe dla szkoły, ale nie dla uczniów. Pożądany jest jeden dzień wolny w tygodniu na zajęcia praktyczne ze wszelkich przedmiotów i na wycieczki. Nauczyciele przyrody ze względu na to, że muszą dużo czasu poświęcać swemu przedmiotowi, powinni mieć mieszkanie przy szkole i osobne wynagrodzenie za pracę pozaklasową.

Między innemi postanowiono na zjeździe niniejszym starać się o dopuszczenie kobiet do wyższych zakładów naukowych i o reformę żeńskiej szkoły średniej.

W sekcyi geograficznej rozprawiano o potrzebie rozszerzenia programu wykładów geografii, antropologii i etnografii, tudzież zwiększeniu personelu nauczycielskiego w tych dziedzinach.

Z ważniejszych postanowień zjazdu są następujące: przeznaczenie 300 rb. na wydanie słownika terminologii botanicznej, 500 na wydanie referatów, czytanych w sekcyi. Zjazd postanowił poprzeć starania petersburskiego Towarzystwa przyrodników o zasiłek rządowy 15,000 rb. i stałą zapomogę roczną 8,500 rb. na utrzymanie murmańskiej stacyi biologicznej. Prócz tego zjazd postanowił starać się: o urządzenie górniczej stacyi meteorologicznej w Krymie na Czatyrdahu, o zbadanie morza Czarnego, o utworzenie wyższego instytutu rolniczego dla kobiet, o naprawę warunków pracy fabrycznej w dziedzinach produkcyi szkodliwej, o rozszerzenie wyższego wykształcenia kobiet za pomocą otwierania kursów wyższych.

Przyszły zjazd XII postanowiono zwołać w Odesie, w pierwszej połowie września 1904 r.

Paweł Krzyżanowski.

Z NAD WARTY I ODRY.

Mnożą się coraz to nowe fakty, ilustrujące całą dzikość „pedagogicznego“ systemu rządu pruskiego względem dzieci polskich. Oto świeżo sąd wejherowski (na Kaszubach) rozpatrywał sprawę o obrazę nauczyciela Wandkego — sprawę, rzucającą bardzo jaskrawe światło na stosunki w szkołach pruskich na „kresach“ wschodnich Niemiec. Nauczyciel Wandke bił w barbarzyński sposób 6-letnie dziecko robotnika Bieszka za to, że nie umiało poprawnie wypowiedzieć „Vater unser.“ Uczęszczające do szkoły dopiero od paru miesięcy i, naturalnie, niemające żadnego pojęcia o mowie niemieckiej, w żaden sposób nie mogło zapamiętać obcych dla siebie wyrazów. Pewnego razu było obite tak, że nie mogło już dojść do domu i usiadło tuż pod płotem szkolnym. Matka, zaniepokojona tem, że nie przychodzi na śniadanie, poszła do szkoły, znalazła sponiewierane dziecko pod płotem, wzięła je na ręce i udała się z niem do pana Zielewskiego, właściciela majątku, w którym Bieszkowie byli zatrudnieni. Zielewski nie znalazł innej rady nad tę, ażeby Bieszkowa zabrała dziecko do domu. Tu ono spało osłabione przez sześć godzin; kiedy zaś matka zaniepokojona tak długim snem o niezwykłej porze, zbudziła je — natychmiast zemdlało. Przestraszona tem, chwyciła je w objęcia i pobiegła do pani Zielewskiej, prosząc o lekarstwo. Dziecko w końcu ocucono.

Ojciec udał się do lekarza w Wejherowie, który jednakże nie chciał wystawić żądanego świadectwa, natomiast napisał list do nauczyciela Wandkego. Wówczas Bieszek pojechał do innego lekarza — do Sobot. Ten, również Niemiec, ale nie utrzymujący przyjacielskich stosunków z nauczycielem, wystawił świadectwo, orzekające, że dziecko wskutek pobicia nie będzie mogło uczęszczać do szkoły w ciągu 2—3 miesięcy conajmniej.

Wynik wszystkich tych starań był taki, że obojgu Bieszkom wytoczono proces... o obrazę nauczyciela. Ten skarżył się, że mu wymyślano od morderców, rzeźników, czartów, rakarzy i grożono zemstą. Jakkolwiek świadkowie zeznali pod przysięgą, że nic podobnego nie słyszeli, sąd skazał oskarżonych na zapłacenie po 10 marek kary lub na 2 dni więzienia.

Podczas rozpraw sądowych wyszły na jaw fakty, świadczące o znikczemnieniu tej inteligencyi niemieckiej, która odgrywa rolę „kulturträgerów“ na „kresach“ wschodnich. Taki np. lekarz z Wejharowa (dr. Hasse), powołany na świadka, udaje, że prawie nic nie pamięta o całem zajściu, że nie miał czasu poinformować się o niem w swoich książkach, że, wreszcie, o ile sobie przypomina, to dziecko Bieszków było chore na żołądek i nic więcej..

Dopiero kiedy Bieszek przedstawia orzeczenie innego lekarza, p. Hasse biegnie do domu, „informuje się“ na poczekaniu w ciągu paru minut i powraca, wydając całkiem już odmienne świadectwo. Dziecko miało, co prawda, czarne plamy na plecach, ale to mogło pochodzić od zbyt wązkiego ubrania; pręgi na nogach mogły być spowodowane przez kurcze lub epilepsyę, ponieważ język dziecka był obłożony, więc z pewnością było chore na żołądek. Gorliwy patryota pruski, p. Hasse, dodaje do tego wszystkiego jeszcze komentarz, wyjaśniający, że Bieszkowie poprostu zmyślili całe zajście, byle nie posyłać dziecka do szkoły. Sędzia najzupełniej dostroił się do tej opinii patryotycznego lekarza i nauczyciela. Kiedy mu bowiem przedstawiono orzeczenie lekarza z Sobót, oświadczył, że nie może go przeczytać z powodu niewyraźnego charakteru pisma.

A więc nauczyciel posługuje się kijem jako narzędziem pedagogii, lekarz kłamie pod przysięgą w obronie katowania dzieci polskich w szkole, a sędzia uświęca to wszystko, skazując na karę poszkodowanych. Łatwo zrozumieć, jakie uczucia budzą się wśród ludu na odgłos podobnych faktów, docierających do najbardziej zapadłych kątów kraju, dzięki prasie. Jednocześnie ze wzmagającą się nienawiścią do Niemców, musi się wśród ludu budzić coraz większe niezadowolenie z postępowania tych kół, które przywłaszczają sobie prawo do przewodniczenia w społeczeństwie polskiem Poznańskiego i Prus Zachodnich. Panowie Radziwiłłowie, Czartoryscy i Jażdżewscy itp. „politycy“ w parlamencie berlińskim każdem swem wystąpieniem udowadniają, że pomiędzy ich egoistyczno-klasowymi interesami, a interesami gnębionego ludu polskiego niema nic wspólnego. Lud polski coraz bardziej uświadamia w sobie to, że ludzie idący ręka w rękę z junkrami hakatystycznymi, we wszystkich sprawach ekonomiczno-społecznych, nie mogą bronić narodowych interesów wobec tych junkrów.

Gdyby nie to, że wypowiadanie się opinii mas ludowych na wiecach publicznych jest tak utrudnione z powodu teroryzmu, jaki wywierają na właścicieli lokalów urzędnicy policyi i księża, berlińskie Koło Polskie mogłoby bardzo często usłyszeć, co myśli lud o jego działalności. Dowodem był wiec w Inowrocławiu, zwołany na d. 29 grudnia przez stronnictwo *Gazety Ro-*

bolniczej. Inowrocław jest w chwili obecnej bodaj jedynem miastem Poznańskiego, w którem istnieje obszerny lokal, dostępny nietylko dla urzędowych „obrońców narodu.“ Wobec tego odbywają się tam od czasu do czasu wiece, odbiegające od szablonu zgromadzeń publicznych, zwoływanych przez zwolenników Koła Polskiego.

Na porządku dziennym wiecu inowrocławskiego stały dwie, najbardziej dziś piekące kwestye: sprawa wrzesińska i sprawa ceł zbożowych. Duża sala była wypełniona po brzegi. Referentami i mówcami byli wyłącznie robotnicy: Biniszkiewicz, Podemski, Dymich, Dębiński itd. Po referatach i przeprowadzonych nad nimi gruntownych rozprawach, powzięto uchwałę, w której zaznaczono silny protest przeciwko germanizatorskim rozporządzeniom rządu pruskiego, wyrażono najgłębsze oburzenie zgromadzonych z powodu zasądzenia rodaków i rodaczek w sprawie wrzesińskiej, potępiono pruski system szkolny, obrzucono pogardą Koło Polskie w Berlinie za postępowania w sprawie wrzesińskiej, wezwano członków jego do złożenia mandatów i wytknięto obowiązek popierania przez to ciało dążeń najskrajniejszej lewicy. Druga uchwała stanowczo oświadcza się przeciwko cłom zbożowym i żąda od inowrocławskiego posła do parlamentu, d-ra Krzymińskiego, aby stanął przed swymi wyborcami i wytłomaczył się, dlaczego podczas narad nad cłami zbożowemi w parlamencie milczał i nie oświadczył się przeciwko nim.

Wiec inowrocławski wywołał wielkie wrażenie, jak to widać chociażby z artykułu *Dziennika Kujawskiego*, który miota w bezsilnej złości najśmieszniejsze oszczerstwa na twórców wiecu i jego uczestników. Należy zaznaczyć, że wiec ten był dotychczas jedynem zgromadzeniem publicznem w obrębie prowincyj polskich Prus, zwołanem w sprawie wrzesińskiej. Patentowani „przewodnicy narodu“ nie zdobyli się nawet na zwołanie zgromadzeń publicznych. Trudno o większe niedołęztwo!

Rząd pruski, popychany przez hakatystów do eksterminacyjnej polityki względem Polaków, wysila się na coraz to nowe projekty, mające usunąć grunt z pod nóg ludności polskiej. Podobno w sferach rządowych powstał projekt założenia w Poznaniu uniwersytetu dla stworzenia naukowego ogniska niemczyzny na „kresach.“ *Deutsche Zeitung* zapewnia, że na początek będzie założony jedynie wydział filozoficzny o pięciu katedrach. Z tego zaś zalążka z czasem ma się rozwinąć całkowity uniwersytet. Jakkolwiek wszelkie projekty, zaopatrzone w markę antypolską, zwykle bardzo podobają się hakatystom, to jednak projekt uniwersytetu w Poznaniu wydaje się niebezpiecznym. Taż sama *Deutsche Zeitung* niepokoi się z powodu tego, że przecież Polakom niepodobna zabronić korzystania z uniwersytetu. Nie dość tego, organ hakatystyczny obawia się - nie wiadomo, szczerze czy nieszczerze — że ze strony polskiej wyjdą żądania wprowadzenia do przyszłego uniwersytetu poznańskiego polskiego języka wykładowego. „Dlaczego bowiem studenci nie mogą przeprowadzić tego, co już przeprowadzili (?) prawie uczniowie szkół ludowych?“ - pyta pismo hakatystyczne i w końcu dochodzi do wniosku: „Ale czy z językiem polskim, jako wykładowym, czy bez niego — w uniwersytecie poznańskim przy dzisiejszych stosunkach i ukształtowaniu naszej polityki wobec Polaków stworzymy tylko ognisko narodowe dla polonizmu, warownią owych dążności, które wyszły na jaw w procesach o tajne związki; temu nie może zaprzeczyć nikt, mający sąd trzeźwy.

Niepodobna nie uznać słuszności rozumowania *Deutsche Zeitung*, ale, gdyby w polityce pruskiej względem Polaków posiadał jeszcze znaczenie „sąd trzeźwy,“ nie byłoby ani Wrześni, ani procesów przeciwko gimnazyastom i akademikom polskim, ani projektów uprzemysłowienia wschodnich „kresów, ani nawet komisyi kolonizacyjnej.

Ta ostatnia świeżo ogłosiła skorowidz wszystkich posiadłości, nabytych przez nią od r. 1886. Otóż od czasu założenia komisyi kolonizacyjnej przeszło w jej posiadanie w Księstwie Poznańskiem 113,200 hektarów, w Prusach zachodnich 49,200, razem więc 162,400. Na ten obszar złożyło się 264 wielkich i mniejszych majątków ziemskich oraz 70 gospodarstw włościańskich, wykupionych z rąk niemieckich i polskich. Zaledwie około połowy tego obszaru rozkolonizowano pomiędzy kolonistów niemieckich, sprowadzonych z Zachodu, lub miejscowych. Mianowicie w Poznańskiem osadzono na 59,000 hektarów 3,497 kolonistów, a w Prusach Zachodnich na 18,000 hekt. 1,203 kolonistów. Na ogół powiększono liczbę ludności niemieckiej dwóch prowincyj polskich mniej niż o 20,000 osób, gdyż pomiędzy kolonistami coraz więcej jest miejscowego żywiołu niemieckiego. Jeśli się weźmie pod uwagę, jak olbrzymich środków potrzeba było na wywołanie tak marnych wyników w ciągu 15 lat, trudno nie uznać całego tego przedsięwzięcia za najzupełniej chybione. To też mnożą się głosy w społeczeństwie niemieckiem, radzące wprost ze względów ekonomicznych zaprzestania tak kosztownej zabawki.

Naturalnie, nie tak to łatwo rozstać się z raz powziętą myślą, skoro dla jej przeprowadzenia ma się miliony na zawołanie. Kwestya tylko, czy bardzo szybko wyczerpujące się zasoby łatwo będzie i na przyszłość pomnażać. Jeszcze parę razy może się udać sztuka, ale w końcu „Michałkowi“ to się sprzykrzy - a wówczas rozsypie się w gruzy całe, tak starannie budowane rusztowanie, na którem miano ściąć głowę polskości w Prusach.

Smutno zapowiada się nowy rok na Górnym Śląsku. Przesilenie przemysłowe, dające się we znaki całym Niemcom, odbiło się i tutaj. Prawie we wszystkich górnośląskich zakładach przemysłowych administracya obniża zarobki robotnikom i wydala ich w wielkiej liczbie. Magistrat gliwicki ogłosił dłuższe sprawozdanie ze skutków kryzysu, wyrażających się przedewszystkiem w obniżeniu zarobków o 50%. Z Królewskiej Huty i Huty Laura wydalono 800 robotników-galicyan, ponieważ zabrakło już pracy i dla żywiołu miejscowego, który godzi się na tak nizkie zarobki, jakie zadawalały uprzednio tylko galicyan. Z Westfalii i Nadrenii powracają górnicy, którzy nie znaleźli tam pracy. W Poznańskiem setki robotników fachowych tułają się bez zajęcia. Nędza i głód zaglądają do mieszkań robotniczych, a tu rząd i junkrowie do spółki z Kołem polskiem grożą podwyższeniem cła na zboże, co w dalszem następstwie musi przyczynić się do utraty zarobków przez setki tysięcy robotników w fabrykach.

I w takiej chwili rząd przez usta p. Bülowa zapowiada nowe środki antypolskie, wymagające naturalnie spotęgowania ofiar ze strony głodnych mas opodatkowanych. Rząd wraz z hakatystami, jak gdyby próbuje, co może znieść cierpliwość mas ludowych. Jednakże ta cierpliwość wkrótce już może pęknąć i wówczas— jak słusznie twierdzi *Vorwärts* — p. Bülow zrozumie, jak głupią była cała jego polityka antypolska.

Pośrednik.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Prośba.

W liczbie reguł, mających na celu stwierdzanie naszej żywotności i sił kulturalnych, błyszczy — jak wiadomo— i ta, że powinniśmy własnym kosztem i staraniem zaznajamiać cudzoziemców z naszym dorobkiem duchowym. Tak np. przed kilkunastu laty powstał zamiar przetłomaczenia i wydania „Pana Tadeusza“ po angielsku polskim nakładem, a wielbiciele tego pomysłu rozpędzili się aż do „moralnego obowiązku“ przeprowadzenia w ten sposób innych arcydzieł naszej literatury do piśmiennictw obcych. W swoim czasie *Prawda* oświadczyła się przeciwko temu zamiarowi, który zresztą był niewykonalny. Do tej samej kategoryi należy myśl wydania „La Pologne contemporaine,“ którą świeżo przypomniał p. A. Potocki. Wieść o tem przedsięwzięciu, cicha i głośna, od lat kilku wynurza się i tonie w gazetach i rozmowach. Dotychczas o przewłokę w wykonaniu oskarżano p. A. Potockiego, który jakoby miał otrzymać dawno rękopisy i pieniądze. Obecnie p. Potocki zwala winę opóźnienia na współpracowników i nakładców, twierdząc w liście publicznym, że rękopisy i pieniądze otrzymał dopiero w ostatnich miesiącach. Nie rozstrzygając tego sporu, którego racyi nie znamy, pozwolimy sobie tylko na zaniesienie gorącej prośby do kierowników i opiekunów wydawnictwa, ażeby pod szumnym tytułem nie puścili w świat czegoś, co nam korzyści przyniesie mało, a wstydu wiele. Lepiej nadesłane prace zużytkować gdzieindziej, a zebrane środki oddać biednym, aniżeli pod flagą „La Pologne contemporaine“ wywieźć na szerokie morze skromny pakuneczek artykułów dziennikarskich. Już jeżeli mamy natrętnie wciskać się do literatury obcej, to przynajmniej niech nas nie przywitają zdumieniem: *ce n'est que ça?*

Retuszowanie portretu.

B. Prus, któremu dawniej dyktował fejletony wielki talent, a obecnie mu je dyktuje wielka przekora, począł zalewać ogień nienawiści do Niemców z powodu sprawy wrzesińskiej, czem wywołał w łamach *Gazety Polskiej* wielogłosową polemikę o „nagą duszę“ germańską. Najokropniej, bo jako czarną od wieków i w całem plemieniu hakatystyczną, przedstawił tę duszę p. J. Ochorowicz; pobielili ją pp. J. Gadomski i B. Koskowski, przyprawił jej rogi i pazury znowu Ochorowicz, odłamał jedne i drugie prof. Smolka — a dalszy ciąg jeszcze nastąpi. Naturalnie, zdumiewające odkrycie Prusa, według którego „*mniej więcej* do r. 1870 (co za ścisłość!) Niemcy i *nawet* Prusacy mieli opinię narodu *dobrego, wesołego, kochającego swobodę, wrażliwego na cudze krzywdy,*“ a „*pomimo* (ładne pomimo!) rozmaitych, *mniej przyjemnych* wspomnień nawet z niedalekiej przeszłości, stosunki Niemców z Polakami do czasu Bismarcka były dobre“ — naturalnie, to wielkie odkrycie usunięto zupełnie z dyskusyi i zapisano wyłącznie na rachunek „oryginalności“ autora. Walka wywiązała się tylko o to: czy hakatyzm jest wiernem odbiciem istoty całego szczepu germańskiego, czy też drobnej jego cząstki, oraz czy jest objawem czasowym, zmiennym, czy też dawnym i trwałym? Ochorowicz odpowiada: „Hakatyzm jest to odwieczna właściwość rasy germańskiej, której punk-

tem wyjścia były wiadome obyczaje rycerskie (picie krwi, podstępne morderstwa itp.), a szczytem rozwoju etnofobia. Ponieważ wszystko na świecie mija, więc i narodożerstwo, powstałe z ludożerstwa, także zginie. Ale wtedy już Germanów nie będzie. Może będą jacyś nowo-niemcy." Przeciwko temu zaprotestował prof. Smolka, który już po raz drugi wystąpił w tej sprawie jako *Geheim-konfusionsrath*. Stwierdziwszy bowiem jeszcze raz, że jest wychowańcem szkół niemieckich, określiwszy różnicę między umysłowością polską a niemiecką w sposób dla niego samego prawdopodobnie niezrozumiały, zapewniwszy, że „niema na świecie narodu, któryby był tak jednolity, jak Francuzi" i że „niema drugiego narodu (no, może Francuzi), któryby był tak jednolitym pod względem składu etnograficznego, jak Niemcy," wykazał, że Niemcy są bardzo niejednolici pod względem składu etnograficznego, *a więc* nie można ich uważać za ciało przeniknięte jednym duchem. Obok wrogów istnieją nasi przyjaciele, którzy mają bardzo utrudnioną obronę Polaków, a jeżeli tego ktoś (Ochorowicz) nie dostrzega nad Wisłą, to stał się ofiarą... „zręcznych agentów pruskich." Wszystko to jest napisane przez profesora uniwersytetu.

Apologia p. Smolki, który dowodzi tego, czego nie chce dowieść, który pragnie być sprawiedliwszym od Jehowy biblijnego, który z Sodomy niemieckiej, pokaranej „ogniem i siarką" przez Ochorowicza, wyprowadza trzech posłów: Windhorsta, Roerena i Cardanusa, niby Lota z dwiema córkami, na świadectwo, że tam są ludzie cnotliwi, który, spełniając naiwną radę Prusa, ażebyśmy „porozumieli się z temi stronnictwami niemieckiemi, które są nam życzliwe," nie umie wskazać ani jednego takiego stronnictwa (oprócz małej grupki w centrum), który stwarza fantazyjnych *agents provocateurs*, wysłanych tajemnie z Berlina, dla poduszczania nieopatrznych publicystów warszawskich do wystąpień przeciwko Niemcom — cała ta dziecinna bajka nie zasługuje na poważny rozbiór. Co do filipiki Ochorowicza, niewątpliwie podniesiona jest nieco do tonu przesady, ale ujmuje dobrze znamienne rysy szczepu germańskiego i w zasadzie wypowiada prawdę. Nawet karykatura może być wyborną charakterystyką, daleko wierniejszą, niż drobiazgowa mozajka cech ściśle zaobserwowanych a połączonych nieudolną ręką. Skwapliwe zaś scieranie tej karykatury przekonywa tylko, że my się boimy wszelkiego radykalizmu, że śmiało skreślony portret hakatysty przeraził pewne lękliwe dusze, które usiłują go zretuszować *en beau* i że nam okropnie się podoba polityka sentymentów, która je zawsze depcze i ośmiesza. Kto chce poznać ludzi, niech się przypatruje ich najbardziej czczonym bogom, a takim bogiem był dla Niemców Bismarck. On jest wcieleniem duchowem ich olbrzymiej większości. Czem wobec tego wcielenia są Windhorsty i Roereny?

Ostrożnie z zarazą.

Kronika Lekarska donosi, że w pracowni dr. Palmirskiego zdarzył się wypadek niezwanego i nieprzewidzianego zakażenia 22 osób z 40-u tego dnia szczepionych według metody Pasteur'a, skutkiem czego z sześciorga dzieci (z których u trojga wystąpiła wysypka szkarlatynowa w ciężkiej postaci) czworo zmarło: jedno w trzecim tygodniu choroby, troje zaś wśród burzliwych objawów po upływie 18—48 godzin od chwili zachorowania. U reszty poszkodowanych wystąpiły przeważnie objawy miejscowe.

Dalecy jesteśmy od zwalania winy na dr. Palmirskiego, chlubnie znanego ze swych preparatów. Owszem, odwiedzając jego zakład, podziwialiśmy mistrzostwo, pozwalające mu osiągnąć pewne rezultaty w warunkach niesłychanie trudnych. Jego zakład (licho subsydyowany) jest to ciasny lokal w domu prywatnym, wcale nieprzystosowany do prac nad drobnoustrojami. Szpitalik obok zawsze przepełniony chorymi z prowincyi. Zapotrzebowanie na preparaty wzrasta. Tymczasem o wzroście środków, o jakiejś szerszej organizacyi nic nie słychać. Ciasnota powoduje brud, jaki widać na korytarzach, w szpitaliku, nawet w salach zakładu dr. Palmirskiego; brak oddzielnych, zamkniętych laboratoryów uniemożliwia pomyłki... Czy takim powinien być zakład wielkiego miasta, które wybudowało niedawno filharmonię, pałac sztuk pięknych, zamierza budować nowe teatry? Nie wątpię, że nasze społeczeństwo stać na te rzeczy, lecz nie róbmy z siebie murzyna, który ogranicza się włożeniem na głowę cylindra, zapomniawszy o reszcie odzienia. Gdyby zaś dżuma lub cholera zjawiły się u nas, co moglibyśmy im przeciwstawić? Nasi uzdolnieni w tej gałęzi wiedzy badacze pracują... u obcych lub marnują swe siły w walce z brakiem środków i urządzeń. Nie mamy ani fachowców, ani limf zapobiegawczych, ani nawet miejsca do analizy i obserwacyi. Prywatny człowiek temu nie podoła. Ostrożnie z zarazą, gdyż rzecz ta źle użyta, jest stokroć straszniejszą od dynamitu, czego dowiodły wypadki w Krakowie i Wiedniu. A wyrzec się zupełnie prób i badań w tym zakresie jest to wytrącić sobie oręż z ręki. W razie klęski żywiołowej wymrzemy, jak wymierają dzikie szczepy, gdy obok nas ludy przewidujące, mędrsze, zwalczą i stłumią chorobę w zarodku, jak stłumiono ją w Anglii, Portugalii i Włoszech. Przypuszczam, iż zamiast oglądać się żebraczo na ręce bogaczów, należy niezwłocznie postarać się o pozwolenie zbierania składek na odpowiedni instytut — i pewny jestem, że wypróbowana ofiarność naszego społeczeństwa poprze projekt, który uwolni nas od trwogi o drogie nam istoty. *W. Sier.*

Sypniewski—Cetliński.

Jeśli za trumną Mozarta nie poszła ani jedna żywa dusza, nie wyłączając własnej jego żony; jeżeli grób Schillera nie był niczem zaznaczony, to można rozgrzeszyć nas, którzy zapomnieliśmy zupełnie o malarzu średniej miary, Feliksie Sypniewskim, zmarłym w szpitalu i pochowanym bez orszaku. Ale co w tym wypadku przekroczyło granicę zapomnienia nawet względem ludzi znakomitych, to pseudonym nieboszczyka. Sypniewski pochowany został jako *Cetliński*. Kto mu to nazwisko przyczepił, skąd powstała pomyłka w meldunku szpitalnym, który przecież związany jest z formalnościami, zapewniającemi ścisłość, jakim sposobem mógł być spisany akt zejścia z fałszywem nazwiskiem — nikt tej zagadki nie wyjaśnił, pomimo że pisma błąd ujawniły i skarciły. A jednak warto byłoby dowiedzieć się prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

Stosunek jednostki do społeczeństwa

I TECHNIKI DO GOSPODARSTWA NARODOWEGO.

II.

Jednostka jest wytworem społeczeństwa. Przychodzi już na świat z wrodzonemi skłonnościami umysłu i serca, odziedziczonemi po poprzednich pokoleniach. Dalej cały jej rozwój następny kształtuje się pod wpływem otoczenia, kultury społeczeństwa, w którem żyje. To też wszystkie jej sądy, uczucia, wszystkie dążenia i aspiracye, noszą na sobie piętno otaczającej ją cywilizacyi. Począwszy od najprostszych naszych czynników życiowych, odżywiania się, mieszkania, ubierania się, a kończąc na najwyższych wykwitach naszego ducha indywidualnego, marzeniach poetyckich, koncepcyach religijno-filozoficznych, dociekaniach naukowych — pozostajemy wciąż wytworem życia społecznego. Toć skrajnie nawet egotyczny liryk, śpiewający li tylko osobiste swe bóle i radości, pisze w języku swego narodu, używa zwrotów i porównań płynących z współczesnego mu kulturalnego stanu narodu, wyraża uczucia, rodzące się w danem tylko społeczeństwie. Bo i miłość i zazdrość nie są absolutami, jak to sądzą nasi moderniści. Inną jest przecież miłość bohaterów „Wigilij" i „Homo Sapiens," niż Greków epoki homerowskiej, lub uczestników wielkich dramatów dziejowych, uwiecznionych w naszej literaturze w "Panu Tadeuszu" i „Dziadach." Zwyrodniałych neurasteników za czasów wojen trojańskich być nie mogło. A ludzie 1812—1828 r. albo miłość uważali za osłodę życia w nagrodę za spełniony obowiązek, albo, jeśli się dali opanować całkowicie miłości indywidualnej, tak, że ta im serce raniła, rozum mąciła—to kochali romantycznie, duszą do ideałów dążącą, zdolni każdej chwili przerodzić się z Gustawa w Konrada, lecz nie „gatunkiem," nie zezwierzęconymi absyntem czy brudną fantazyą nerwami.

Więc człowiek, czy chce, czy nie chce—jest zawsze wytworem społeczeństwa. I liczni socyolodzy sądzą wobec tego, że rola jednostki jest bierna tylko, że indywiduum w ścisłem tego słowa znaczeniu *de facto* być nie może. Gumplowicz oświadcza wręcz (że „quod est in intellectu, prius fuerit in societate.") Balicki określa jednostkę, jako punkt przecięcia różnorodnych prądów społecznych, nurtujących naród.

A przecież jednak indywidualizm istnieje. Każdy z nas to czuje doskonale, że po za swą rolą obywatela kraju, zawodowca, brata, syna, ojca rodziny, właściciela majątku czy dochodu, wyznawcy idei moralnych, politycznych, społecznych—jest jeszcze i sam sobą, żywym, samodzielnym człowiekiem o osobistej swej duszy twórczej. I świadomości tej żadne rozumowanie, żadna najsubtelniejsza analiza nie może zabić! Możemy nie znaleźć argumentów na obronę jej, możemy się nawet zgodzić rozumowo, że nie jesteśmy niczem, jeno wytworem społeczeństwa. Lecz uczucie nasze nie przestanie się buntować przeciwko tym twierdzeniom. I nietylko czujemy, że jest coś w naszem życiu duchowem, co z nas samych przechodzi, stanowi naszą osobistą, niepodzielną własność. Czujemy jeszcze, że i w sprawach publicznych, w życiu społecznem nietylko wpływom społeczeństwa podlegamy, lecz również czynną siłą jego jesteśmy, że bez naszego udziału, bez sądu, dążeń ludzi nie byłoby ani narodu, ani prawa, ani religii, że człowiek nietylko musi podlegać porządkowi społecznemu, żyć kulturą narodu, lecz może także zmieniać ten porządek i powinien starać się o zachowanie i postęp tej kultury.

Więc jesteśmy źródłem bytu społecznego. Więc społeczeństwo jest naszym wytworem. I liczni socyolodzy jak, Rousseau, uznają społeczeństwo za umowę jednostek, lub też, jak Menger, za wynikową dążeń indywidualnych ku zaspokojeniu indywidualnych potrzeb jednostek.

Otóż więc mamy dwa sprzeczne, wykluczające się pozornie zdania, a jednak obydwa prawdziwe: 1) jednostka jest wytworem społeczeństwa, 2) społeczeństwo jest wytworem jednostek.

Rozwiązanie tej antynomii jest niezbędnem, by zrozumieć czem jest społeczeństwo. To też wszyscy bez wyjątku socyo-

lodzy przedewszystkiem pracowali nad jej rozwiązaniem.

Niestety, najczęściej spotykamy trzy następujące typy odpowiedzi, zgoła niewystarczających. Lecz są to odpowiedzi najłatwiejsze do osiągnięcia. Że zaś nauki społeczne są jeszcze tak bardzo młode — więc też nic dziwnego, że przedewszystkiem spotykamy się w nich dzisiaj z najłatwiejszemi, lecz nie z najsłuszniejszemi metodami badań.

Najczęściej więc powyższa antynomia bywa w ten sposób rozwiązywaną, że przeczymy realnemu istnieniu już to indywiduum, już to społeczeństwa. Obu tym odpowiedziom przeczy wszakże codzienne nasze doświadczenie.

Drugi typ rozwiązania polega na przedstawieniu jednostki i społeczeństwa jako dwóch heterogenicznych sił, nieustannie nawzajem na się wpływających. Społeczeństwo oddziaływa na jednostki tak, iż wszystkie ich czyny noszą wyraźne piętno naszego otoczenia społecznego. Z drugiej strony jednostki wciąż oddziaływają na społeczeństwo i dążenie uczucia, sądy nasze krystalizując się w prądach społecznych, przewidują zmiany w budowie społecznej. Jest to niby rozwiązanie syntetyczne. Lecz opiera się ono na błędnym zupełnie poglądzie, jakoby jednostka i społeczeństwo to były jakieś dwie całkiem różne rzeczy, mogące istnieć niezależnie od siebie. Tymczasem naprawdę społeczeństwo nie jest niczem innem, jak całokształtem stałych typowych stosunków między ludźmi i ich grupami, stosunków przytem duchowych. A w takim razie nie może być społeczeństwa bez jednostek, bez ich świadomości. Boć stosunki duchowe jednostek między sobą — są to oczywiście jakieś ich stany świadomości, których podmiotem są dane jednostki, a przedmiotem—reszta jednostek określonego zbiorowiska. Lecz czyż możemy przeciwstawiać stany świadomości jednostek jednostkom, by mówić o wzajemnem uzależnianiu się obu tych czynników?

Trzeci typ odpowiedzi — to właściwie zręczne raczej obejście samego zagadnienia, nie rozpatrzenie jego istoty. Polega ona mianowicie na analizie motywów naszych czynności, o ile je czerpiemy z indywidualnych naszych skłonności, a o ile z kulturalnych naszych pojęć. Tak np. według Steina stosunek jednostki do społeczeństwa polega na tem, iż jednostka czerpie motywy swych decyzyj z otoczenia społecznego, kombinuje je wszakże na zasadzie swych uzdolnień indywidualnych. Nie mówiąc wszakże już o tem, że nieraz widzimy wręcz odmienne zjawiska, gdy np. człowiek czyni coś, co mu jest osobiście potrzebne, ulegając jednak opinii, należy tu jeszcze zauważyć, że odpowiedź ta dotyczy co najwyżej kwestyi, o ile jednostka, ulegająca wpływom otoczenia, zachowuje jednak swój indywidualizm, nic nam wszakże o tem nie mówi, w jaki sposób może ona, będąc wytworem społeczeństwa, jednocześnie być jego podmiotem. Nieco bliżej otarł się o istotę tego zagadnienia Abramowski, dowodząc, że jednostka otrzymuje materyał dla swych dążeń społecznych od uprzedniego stanu społecznego, lecz, kombinując materyał ten z indywidualnymi swymi elementami, wzbogacając go wytworami osobistego swego ducha, oddaje następnie społeczeństwu więcej, niż odeń wzięła, że więc w ten sposób staje się ona czynną siłą życia społecznego, będąc jednocześnie jego wytworem. Jest to jak najzupełniej słuszne, lecz nie wyjaśnia jednak pytania, w jaki sposób jednostka, będąc podmiotem społeczeństwa, może być zarazem jego wytworem, lecz tylko określa proces wzajemnego oddziaływania na się obu tych czynników. Wszakże definicya ta przyjmuje już z góry fakt, że społeczeństwo istnieje niezależnie od jednostki, jako po za nią lub po nad nią stojąca wielkość, której wpływom ulega jednostka i na którą reaguje.

Tymczasem w tem właśnie tkwi cała zagadkowość stosunku jednostki do społeczeństwa, iż społeczeństwo, względnie zjawiska społeczne, istnieją po za nami a jednak są procesami naszej świadomości.

Sprzeczność ta nie da się rozwiązać drogą żadnych analiz formalno-logicznych, ani też psychologicznych. Istnieje ona, niezaprzeczalna i istnieć będzie, choćbyśmy ją rozkładali na jak najdrobniejsze funkcyonalne, na jak najsubtelniejsze momenty psychologiczne. A jednak umysł nasz, mimo wszystkiego, jej przeczy; przyznając ją — nie może jej uznać.

Stanisław Grabski.

LITERATURA I SZTUKA.

JUDYTA I RACHELA.

—•—

Judyta w „Księdzu Marku" Słowackiego — to jedyna żydówka, bohaterka i w znacznej części sprawczyni tej tragedyi szlacheckiej; Rachela w „Weselu" Wyspiańskiego — to także jedyna żydówka, sprawczyni tej szlacheckiej tragikomedyi. Żydówki w naszej literaturze nie występują tak często — chyba dopiero w najnowszej powieściowej; w poezyi zaś narodowo-romantycznej, do której przecie utwór Wyspiańskiego śmiało zaliczyć możemy, spotykamy je nadzwyczaj rzadko, wprost wyjątkowo. Jeśli zważymy jeszcze bardzo blizkie pokrewieństwo duchowe Wyspiańskiego ze Słowackim, to będziemy mogli chyba przypuścić, że analogie — a zarazem różnice — między temi dwiema przez romantyków polskich przedstawionemi postaciami żydówek nie są przypadkowemi. Wobec tego zaś sądzimy, że porównanie ich zasługuje na chwilę uwagi, ponieważ może być pożytecznem, może rzucić pewne światło na myśl przewodnią Wyspiańskiego, a tem samem na ocenę teraźniejszości.

Że Wyspiański jest epigonem Słowackiego, to oczywistem było chyba dla wszystkich już przy czytaniu oktaw „Bolesława Śmiałego" i „Kazimierza Wielkiego," tak bezpośrednio wyrastających z „Króla Ducha." Co do „Wesela," jakkolwiek dzieło to stoi znacznie wyżej od owych dwóch utworów poprzednich, i pomimo całej jego tak odświeżającej oryginalności, nie mogę się oprzeć przekonaniu, że było ono pisane pod silnym wpływem „Księdza Marka" i „Snu srebrnego Salomei," niemal jako *pendant* do nich. Nawet rozmiar i charakter wiersza jest jednakowy. Dwie ważne postacie są u Wyspiańskiego te same, co u Słowackiego: Hetman i „Pan Dziad z lirą." Trzecia jeszcze postać — księdza, którego usunięto ze sceny, aby uniknąć „zgorszenia," ale o którym w wydaniu książkowem czytamy, że z karczmy, wydzierżawionej żydowi, drze „słuszną taksę," wysoki czynsz dzierżawny, który sobie potem Mosiek odbija na chłopskich skórach, co też skłania energicznego Czepca do pytania: „Czy kaci, to któż moich groszy złodziej, czy żyd jucha, czy dobrodziej?!" Postać ta nieodrodna jest też od owego przełożonego karmelitów, o którym ksiądz Marek mówi, że sprzedawałby bramy kościelne, okna, „łan tęczy za łan pszenicy": — „ja wiem, że w twojej winnicy, gdy zbierzesz, coć urodziła, nie będzie ptaszyna piła słodkiej, rubinowej wody z żadnej sierocej jagody..." Jeśli w tym wypadku mamy do czynienia tylko z podobieństwem typu i moralnej jego oceny przez autorów, to Hetman piekielny jest tą samą osobą: u Wyspiańskiego odbiera on nagrodę za swe uczynki, przedstawione u Słowackiego. Tą samą osobą jest również Lirnik-Wróżbita. Gdy się zjawia na „Weselu," to, zda się, spełnia tylko swą obietnicę, w „Śnie srebrnym" daną, że „znów zagra dziad z powagą, że znów jęknie — a kto zna go, a kto słyszał po za światem, przyjdzie w łańcuch żórawiany," że ten dziad, co leci „z lirą grającą u siodła, umarłe trzaskając kości," „naprowadzi wam łabędzi, i rycerzy, i hetmanów," że „nasypaniem starych dum w uszy" zmusi trupa *waszego*, „że się ruszy, taj swą twarzą księżycową spojrzy na was, jak upiory..." Widma, sceny aktu II-go „Wesela" są jakby sprawdzeniem słów Lirnika ze „Snu srebrnego": — „Każdy kwiat ma swe zapachy, *każdy duch swój wid półjasny, każde serce swój strach własny...*" Lirnik z „Wesela" przypomina „krwawe łuny i jęk dzwonów i pioruny i rzeź krwawą, krwawe rzeki," kiedy stał „w pożarnej łunie na swym siwym rumaku, czekając bożego znaku..." Pożar ten — Koliszczyzna — wypełnia treść „Księdza Marka" i „Snu srebrnego": „lasy, dotąd kwiatkami panieńskie, od pszczółek by lutnie brzmiące, widzą nagoście męczeńskie, w czaszkach siekier półmiesiące, ręce w płomiennych okowach..." I „Wesele" całe zatrute jest oddechem krwawych „zapust" z r. 1846. Ciągle się jedno z drugiem krzyżuje. „Świat pijany, świat pijany, cały świat zaczarowany — mówi Gospodarz u Wyspiańskiego. Brzmi to jak parafraza słów Pułaskiego, któremi kończy się „Ksiądz Marek":—„Ten lud, widzę, cały chory: wszędy, gdzie oczyma skinie, widzi ogień i upiory." Możnaby je, jako godło, wypisać na drugim i trzecim akcie „Wesela." Nic dziwnego: bo jeśli wojakom w Barze „pieśń na fundum wiary, anielskiego pełna jęku, ściągała cudy—zjawienia, *przelotne niebios humory*, gwiazdy z grzywą, meteory, nocne słońca—łby z płomienia, *szwadrony w zbrojach nieznanych, po obłokach malowanych idące truchtem i cwałem*," — to przecież cała „niebios zawierucha, która wszystkich pochłania" w „Weselu" tłomaczy się poprostu tem, że ludziom tym nie zostało — jak przepowiedział ksiądz Marek — „tylko oto się chwytać tej tęczy, którą przez wieków otchłanie z proroczych ust teraz ciskam"!..

W tem „chwytaniu się tęczy" odgrywa ważną rolę Rachela, jak w tamtych „cudach-zjawiskach" — Judyta. Obydwie są czarodziejkami — tylko nierównej miary, bo nierównych zamiarów. Rachel „chce poetyczności" dla weselników - goimów i „chce ją rozdmuchać," lecz zresztą sama wyznaje, że „nie dorosła do wielkich skal: bawi się *pour passer le temps* tylko"; to też, choć „za pan brat z różami w ogrodzie, za pan brat z obłokami," choć czuje wszędzie „poezyę żywą i świętą," choć, jak sama mówi, „cała ta przyroda tajemna przestała jej być tajemną," jednak czarodziejski jej wpływ poprzestaje tylko na udzieleniu rady, aby zaproszono na wesele „wszystkie dziwy, kwiaty, krzewy, pioruny, brzęczenia, śpiewy." Nie dorosła ona do kolan Judycie, której postać Słowacki roziskrzył wszystkimi klejnotami swej prawie wschodniej wyobraźni, „umalował sowicie w Izraelowej purpurze." Ona zaraz w pierwszym przepysznym swym monologu głosi się być „aniołem na Boskich posyłkach, który piorunami strzela." „Ci ludzie — woła — nie wiedzą, co ja mogę— kiedym sroga, co ja wiem — od Pana Boga, co duchem zrobię, jaki duch w mojej osobie?!" Ona bywa „błyskawicą! Duchem, co krwią pole broczy! Śmiercią, gaszącą oczy!.. Wichrem, deszczem, nocą grubą, duchem, gwiazdą, trumną, trwogą! Bo w jej sercu są wichrzyce, co was i rozerwać mogą!"

„Judzka niewiasta... jest jak noc, cała w płomieniu, jest jak burza, cała w mocy, jest jak siła, cała w ciszy, jest jak głaz w Dawida procy, jest jak płacz, który Bóg słyszy...“ — nie będziemy kończyli szeregu prawdziwie biblijnych, groźnych porównań. Ale też mocy swojej używa ona nie dla „poetyczności,“ nie gwoli wywołania pobladłych cieniów wspomnień, tylko—albo wtedy, gdy pomścić chce ojca, albo — gdy wyzwolić księdza, albo — pomódz szabli Kossakowskiego, „kiedy on leciał na działa...“ A jednak są między temi dwiema żydówkami uderzające cechy podobieństwa. Jedna z nich, wybierając się z domu, mówi:

Zapal ten kaganiec śliczny,
Tę latarnię z pargaminu,
Co jako księżyc z bursztynu
Po ciemnych ulicach chodzi:
Księżyc, który na srebrnicy
Róże malowane rodzi
I rzuca po błotach ulicy.
Gdzie ja żydówka przechodzę,
Tęczę — za most mojej nodze,
Kwiaty rzuca na kałuże,
Abym stąpała na róże...

Gdybym nagle zagadnął kogoś, ktoby z „Księdza Marka“ i z „Wesela“ tylko ogólny nastrój miał w pamięci, lecz nie wszystkie szczegóły akcyi, to zdaje mi się, że z łatwością mógłby to fantazyowanie Judyty przypisać Racheli. Pomieszałoby mu się ono z opowiadaniem Racheli, jak szła z domu do tej „chaty rozśpiewanej, rozświeconej, zdaleka jak arka w powodzi — przez błoto po kolana, potopy—wiedziona mgłą, oparami nocy — ku chacie rozśpiewanej, ukąpanej tęczą.“ I jednej i drugiej „myśl na skrzydłach zwisła.“ Zapewne, Judyta ma prawo powiedzieć o sobie, że jest „z Jerychońskiego ogrodu *róża*, między obce ludy przesadzona i kwitnąca— a królewna z rodu Judy“; ale jednak i Rachela na szyderstwa poety odpowiada: „no, nie trza się o mnie bać; jeśli kto ma zapach *róż* — owiną go w słomę zbóż, a na wiosnę go odwiążą i sam odkwitnie.“ Różnica—powiedzmy raczej: przepaść, jaka dzieli je, pochodzi stąd, że Judyta posiada głęboką, płomienną wiarę. Jak ona mówi Kossakowskiemu o groźnym Bogu Izraela i Judy, co „stoi pośród dwunastu piorunów w czarnej i ognistej chmurze — a jak spojrzy, to się góry pokłonią! a jak błyśnie, to ślepota na ludy!“ Ona jest „zmartwychwstaniem Izraela, stojącem już na mogiłkach!“ Jak Słowacki pojmował to zmartwychwstanie, to poznajemy stąd, że każe Judycie przyjąć chrzest z rąk księdza Marka i przedzierzgnąć się w Salomeę. Rachela nie jest bynajmniej tą Salomeą — ale nie jest także już „Izraelitanką“ — ona jest „panna całkiem modern, co zna cały Przybyszewski...“

To zestawienie daje nam poznać żydówkę Słowackiego i Wyspiańskiego w stosunku do własnych narodowo - religijnych tradycyj. Niemniej pouczającem będzie — przypatrzeć się ich stosunkowi do świata goimów. Ksiądz Marek obiecywał Judycie, że niedługo już będzie wygnanką w naszem społeczeństwie. Zapewne, społeczeństwo, które odzwierciadla się w „Weselu,“ nie żywi już dla żydów takich uczuć, jakie wyrażają się w groźbach Kossakowskiego: „wymieść dom żyda brodą,“ „u mnie —żyda powiesić, to tak jak w pejsy go trzepnąć,“ wreszcie — w bezecnem okradzeniu i zamordowaniu rabina. Ojciec Racheli, karczmarz, może, choć „nieśmiele,“ przyjść nawet na wesele gospodarskie i spotka go tam tylko lekkie ukłucie: „jak są tacy, co skubią, to są i tacy co się boczą,“ bo zresztą ma on wszystkich w kieszeni. Podobieństwo sytuacyj dochodzi, jak widzimy, do tego stopnia, że i Judyta i Rachela występują w towarzystwie swych ojców. Są one zresztą, jako kobiety, z natury rzeczy odmiennie traktowane od tych ojców. Judycie Kosakowski każe ściągnąć sobie buty, lecz potem, jako z ochrzczoną i bogatą, chce się nawet z nią żenić. Co do Racheli, korzysta ona już z praw, przysługujących wszystkim damom w dobrem towarzystwie; karczmarz sam mówi do Pana Młodego: „pan się mną, żydem, brzydzi, a ją to pan musi uszanować.“ Z tem uszanowaniem zdawkowem miesza się jednakowoż i bardzo widoczna doza nieuprawnionej poufałości a lekceważenia. Sama Rachel spostrzega to: oświadcza, że idzie skarżyć się Chochołowi, „jak się jęto kąsać, gryźć mnie, co przyszłam zakochana,“ z sercem wylanem dla tańczącej gromady. Najbardziej ją mógł urazić lekceważący a dość natrętny flirt ze strony pana Poety: „miłość, Amor, strzała złota“ — „oto od głowy do nóżek: Galatea“ —„ku swojej wygodzie chce pani za pan brat z poetami“—„pewnie serce żądzą gorze i wolałaby gdzie w komorze, nie sama“ itd. Ba! ale przodkowie tych poetów, szlachta—Kossakowscy inaczej sobie poczynali! „Ratuj! skoczył mi na szyję, jak wąż, jak płomień z pod ziemi wyskoczył do mnie w alkierzu...“ Jak płomiennie, jak przepysznie — nie anemicznemi, półuśmiechniętemi półsłówkami — oświadcza się ten „Edomit“ Judycie:

Na twe czoło, wykąpane
W ptasim gołębicy mleku!
Na twoje usta różane
Których łuk napięty drży!
Na ten szprejtuch, który skrzy
Niby złoty jaki kruż
W środku pełen białych róż!
. . . .

I jedne i drugie oświadczyny kończą się szyderstwem i obelgą. Kossakowski z urągowiskiem obiecuje „miłość wieczną;“ Poeta zapytuje skwapliwie: „a miłość wolna?“ Obydwa mogliby powtórzyć; „Wcale nie mam do niej wstrętu: czysta, mało ma akcentu.“ Judyta musi napastnikowi grozić nożem; Racheli wystarcza odciąć się kilka razy, ironicznie przyobiecać, że „jak będzie zakochana—przyszle panu list i klucz“ — i starać się wciąż naprowadzać rozmowę na drogą jej egzaltowaną „poetyczność.“ U dzisiejszego poety — to wszystko tylko, „literatura,“ zbieranie wrażeń, aby potem „muzykę serca oddać co do wiersza najszczerzej;“ tamten zawalidroga—„dotyka się piersi piorunem, i za szyję chwyta płomieniem!“ Ale też zdolny jest do wielkich przemian; mógłby być „hyclem u kata“ — ale za pokutę zostaje parobkiem, obsługującym zadżumionych! I w końcu Judyta, mimo zamordowania ojca, ze łzami mówi temu goimowi, że „przepaść jest między nami,“ i modli się gorąco za jego szczęście; a on stoi we łzach, w prawdziwem obłąkaniu, aż ciało żydówki, co się za księdzem Markiem rzuciła w płomienie, unosi gdzieś w dal na swym niedoścignionym rumaku. A dzisiejsi—*nie chcą chcieć...*

Tak mówi o nich chłop buńczuczny. Nie chcą chcieć — w żadnym zakresie. U Słowackiego „temperamenta grają“ w szlachcie; u Wyspiańskiego widzimy, że przechowały się one tylko w ludzie, a szlachta—nie chce chcieć... Dlatego nazwałem „Wesele“ szlachecką tragikomedyą, bo z punktu widzenia ludu — jest ono raczej tragedyą. Przed pyszałkiem Kossakowskim drżą wszyscy, a Judyta, choć zelżona, klęka przed nim i całuje mu buty zbłocone — bo on „chodził po dolinie na koniu jak Goljat jaki,“ bo był „Judasz Machabeusz.“ Weselnym zaś paniczom Wyspiańskiego, tym „żórawcom — latawcom“ tonącym w pospolitości i nie umiejącym się z niej wydobyć, karczmarz Mosiek może powiedzieć, że się „narodowo bałamucą...“

W *Przeglądzie Polskim* ksiądz jezuita Pawelski ogłasza misterną analizę „Wesela,“ której zręczność każe przypuszczać odziedziczenie zdolności po jezuitach -organizatorach wielkich alegorycznych przedstawień w XVIII w. Rozplątując zagmatwany wątek symbolistyki Wyspiańskiego, wykazuje on, że cała akcya grupuje się wokoło dwóch głównych symbolów: Chochoła, oznaczającego inercyę, lenistwo uczuć, ukrywanie ich pod ciepłą słomą, oraz Złotego Rogu, którego głos woła do otrząśnięcia się z bezczynności. Ksiądz jezuita, którego interpretacya zresztą w dalszym ciągu za bardzo wyraźnie zbacza na tory szlachecko klasowe (tragedya ma polegać na tem, że Gospodarz odstąpił złoty róg Jaśkowi!)—nie uwydatnił też roli Racheli, jako jednej z tych postaci, które popychają do wyjścia z granic codziennego szarego żywota. Ksiądz Marek, przebaczając Judycie jej winę, mówi, że „węgiel gorejący na bladych jej ustach kładzie.“ Rachela, jak już wiemy, tego węgla gorejącego po Judycie nie odziedziczyła: do takich „skal“ bardzo daleko jej —ale też i całemu weselnemu gronu. Dlatego też, pomimo swej małości, pomimo obcości — sprawia przecież tę „w powietrzu atmosferyczną zmianę,“ dzięki której „chata staje się rozkochaną w polskości,“ ona chwali tę „właściwą skalę,“ ona odczuwa instynktem to odzywanie się „prastarych sił.“ ona wskazuje Poecie drogę — „na szczyty.“ Całe dzieło Wyspiańskiego przesiąknięte jest nawskroś ironią gorzką, wymierzoną w gruncie rzeczy przeciw tym, o których stary Gruszczyński mówi w „Śnie srebrnym Salomei:“ „kto używa żywota obok potoku, w którym sprawy Boże płyną, kto chce spokojny z rodziną swoją kość gdzieś gryźć na boku, wiejskich kosztować słodyczy...“ Tragedya Słowackiego grzmi tu groźbą: „choć się nie policzą ludzie, to się Bóg z takim policzy.“ Tragikomedya Wyspiańskiego ma dla nich—szyderstwo Chochoła, smutną ironię. Otóż jeden z objawów tej ironii ja upatruję w tem, że—ot! panna modern, Rachela, musi grać rolę „Walkiryi“ dla tych „ustrojonych w kierezye“ filistrów...

K. Radosławski.

LITERATURA FRANCUSKA.

Nowy Don Juan.

Śmiały i oryginalny zamiar powziął prawie nieznany autor, M. Barrière, gdyż w cyklu złożonym z siedmiu utworów (heptalogia) chce zsyntetyzować życie moralne, umysłowe, artystyczne, a nawet społeczne kilku ostatnich dziesiątków XIX w., otworzyć perspektywę na przyszłość ludzkości w pierwszej połowie XX stulecia.

Ciekawy ten cykl ma nosić ogólny tytuł „*Les hommes de demain*“ (Ludzie jutra) i będzie się składać z następujących części; „Trylogia romansowa“ (w niej utwory: 1) Nowy Don Juan, 2) Ostatnia epopeja, 3) Romans kwestyi społecznej) „Trylogia filozoficzna“ (1) Sztuka namiętności, 2) Program rewolucyi, 3) Dusza powszechna) „Część analityczna“ (1) Historya danego dzieła). Wyznaję, że po rozejrzeniu się w tym imponującym planie, przyszły mi na myśl dzieła rozmaitych grafomanów, o dziwacznych tytułach i dziwaczniejszej jeszcze treści, pełne pretensyonalnych zamiarów, nielogiczne w założeniu i nieudolne pod względem wykonania.

Po przeczytaniu wszakże trzech początkowych powieści: „*L'éducation d'un contemporain,*“ „*Le roman de l'ambition*“ i „*Les ruines de l'amour,*“ które stanowią w cyklu odrębną całość, zatytułowaną „Nowy don Juan,“ przekonałem się, że mam tu do czynienia z autorem niepospolitym, z umysłem niezwykłej kultury, z artystą wytrawnym, któremu nie zbraknie sił na wykonanie prawdziwie zuchwałego planu literackiego.

Idee wytyczne tego planu są bardzo wyraźne. Autor jest zdania, że postępująca coraz bardziej niwelacya społeczna, niszcząc wszelkie gatunki arystokracyi, zmniejszać będzie stopniowo ilość oryginalnych

indywiduów „menażeryi“ ludzkiej i, w rezultacie ostatecznym, stworzy przeciętny typ „człowieka społecznego,“ który we wszystkich sprawach, nawet w sztuce, będzie się rządził pojęciami ścisłemi, określonemi przez geniuszów dawniejszych.

Obecnie, wśród tych postępów dążności niwelacyjnych, spostrzegamy jednostki im oporne, toczące z niemi zaciętą walkę; są to męskie i żeńskie typy istot namiętnych, spragnionych rozkoszy, typy dumnych ambitników i artystów. Autor w pracy swojej ma na względzie najsilniejsze jednostki powyższego gatunku, które, nawet wśród zniwelowanej ludzkości, pozastaną oryginalnemi i dominującemi.

Kilkanaście takich jednostek studyuje autor w swojej „Trylogii romansowej,“ umyślnie zaznaczając doniosłość ich charakteru, czynów i zdarzeń, w których biorą udział, aby tem lepiej wyrażały swoją epokę, streszczały idee i uczucia, unoszące się obecnie w atmosferze, otaczającej ludzkość.

W ten sposób główne postaci „Trylogii:“ generał książę Baratine, dyktator społeczny Fouché-Lahache i apostoł ludzkości Rafael, eksplorator i kolonizator Afryki i tysiące, skupiają w sobie całą poniekąd historyę moralną epoki, w której powołani zostali do życia czynnego, przedstawiają najbardziej świadome wysiłki jednostek z gatunku „dominatorów“ i najogólniejsze popędy i dążenia mas.

Charakter abstrakcyjny tych postaci nie odbiera im wszakże ich indywidualności;— są to jednostki żyjące rzeczywistością, poruszające się w jej ramach.

Trzy pomienione powieści są poświęcone głównie pierwszej postaci: księciu Baratine'owi, który ma uosabiać wszelkie zasadnicze przymioty, usposobienia i czynności, związane z pojęciem „nowego don Juana.“ Jest on w rozumieniu autora, nienasyconym poszukiwaczem ideału, nie zaś pospolitym awanturnikiem, spragnionym coraz to innych przygód miłosnych i form użycia zmysłowego. Jest to istota, złożona z takich pierwiastków, jak: piękno fizyczne, żywe namiętności, potężna wyobraźnia i wyrafinowane zmysły; istota obdarzona wielką inteligencyą, posiadająca duszę wrażliwą i wiecznie niespokojną, umysł ciekawy i badawczy, w końcu pełna upodobań artystycznych.

Dwie władze naczelne poruszają istotę „nowego Don Juana,“ są niemi: pragnienie rozkoszy i chęć panowania, ambitna dążność do zapewnienia swemu „ja“ powagi i przewagi nad innymi. W tem ostatniem nawet, bardziej się objawia właściwa natura „nowego Don Juana,“ niż w pragnieniu miłości, które często w nim mięknie, wobec dumy i rozmaitych praktycznych ambicyi.

Autor mniema, że jego Don Juan, ze swemi namiętnościami i wadami, ze swemi pożądaniami materyalnemi i dążnościami do ideału, że ta istota niespokojna, gorączkowa i ambitna, ulepiona z pierwiastków mistycznych i racyonalistycznych, spragniona wzruszeń, któreby ją wyrywały z otchłani zniechęceń filozoficznych, poszukująca tych wzruszeń wśród chimer pociągających i złudnych zarazem, z któremi boryka się nieustannie, — jest wiernym obrazem człowieka dzisiejszego, również niespokojnego i złożonego.

Jest to, w każdym razie, idealne odbicie pewnej odmiany tego człowieka, doskonały wzór zdobywcy, który instynktownie i świadomie, poszukuje na wszystkich polach działalności swojej, przewagi nad innymi, w tem bowiem tylko upatruje istotną wartość bytu.

W trzech wymienionych powieściach, autor przedstawia kolejne fazy stanów uczuciowych swego Don Juana. W „Wychowaniu człowieka współczesnego,“ mamy pierwszą młodocianą miłość księcia Baratine'a, będącą niewyrozumowanym wynikiem przebudzenia się płci; tu główną rolę grają zmysły. „Nowy Don Juan zaczyna swoje doświadczenia miłosne od związku z kobietą zamężną, tak samo, jak w arcydziele Byrona i, podobnież jak tam, jest przez oszukanego męża złapany „in flagranti.“ To wejście na scenę męża porusza, w bardzo charakterystyczny sposób, istotę początkującego Don Juana, budzi w nim poczucie własnej krzywdy. Niema tu mowy o żalu, bądź o zazdrości, skierowanej do osób poszczególnych. Nie! Nowy Don Juan pociąga do odpowiedzialności nie jednostki, lecz porządek społeczny, którego prawa stoją w niezgodzie z prawami naturalnemi, zaczyna odtąd gardzić obyczajami swego czasu. Wszelkie przygody miłosne księcia Baratine'a nic wszakże nie mają wspólnego z banalnem uwodzicielstwem tradycyjnych lowelasów,w uczuciach zaś jego niema ani śladu konwencyonalnego sentymentalizmu, komedyi miłości, bądź takiego tragizmu, jak u powszednich bohaterów buduaru i... cudzej alkowy. Serce jego nie zna przedewszystkiem zazdrości, nie żywi również uczuć mściwych, gdyż są to stany duszy, właściwe istotom patologicznym, słabym, pozbawionym poczucia własnej potęgi w budzeniu miłości ku sobie. W oczach własnych nigdy on za ofiarę uchodzić nie może, a gdy go spotykają zawody, gdy mu rzeczywistość sponiewiera jego ideał uczuciowy, wówczas jak najspieszniej — bez złorzeczeń i mdłych żalów — wymyka się z tej rzeczywistości, której nie mógł zharmonizować z ideałem.

I wówczas to, ułomna i znikoma rzeczywistość, traci dla niego swoją wartość, nie zaś ideał, który unosi się po nad nią i byle niepowodzeniem nie daje się zachwiać.

Na takiem stanowisku utrzymuje się „nowy Don Juan,“ niezwykłem wyrobieniem indywidualności swojej, kierowanej we wszelkich dążeniach ogromem świadomości, przewidującej z góry wszystko to, co jest w przeznaczeniach ludzkich nagłem, bądź fatalnem. Wszystko co w bycie jest tragicznem i przerażającem, z czem się chwiejny i niejednolity umysł ludzki pogodzić nie może, on z tem wszystkiem jest oswojony z góry i idzie ku temu świadomie, odpowiedzialny tylko wobec siebie, za wszelkie swoje błędy, chybienia i klęski. Jest to istota, która zawsze umie być samą sobą, umie zawsze chcieć samej siebie, co wszelkie sprzeczności rozdwojenia i zwątpienia własne, umie skuwać stalową obręczą samowiedzy, osiągając w ten sposób jedność ducha swego.

(D. n.)

Wł. Jabłonowski.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Wieczór Asnykowski u Miłośników sceny. — Teatr Rozmaitości: *Piękna ogrodniczka* St. Krzywoszewskiego i *Zagadka* Pawła Hervieu.

Utwory dramatyczne Asnyka rzadko ukazują się na scenie. A szkoda to wielka! W czasach upadku naszego teatru przydałoby się od czasu do czasu skierować prąd ożywczego strumienia poezyi w tę stajnię augiaszową. Nie wszystkie może dramaty i komedye El...ego odpowiadają wszelkim warunkom sceny; nie zająłby może publiczności głodnej silnych wrażeń ani klasyczny „Kiejstut,“ ani pozbawiony efektów powszednich „Rienzi.“ Może „Żyd,“ pełen zdarzeń melodramatycznych, wstrząsnąłby nerwami; może na farsę krojąca „Walka stronnictw“ przypadłaby do smaku operetkowym wybrednisiom. Ale „Bracia Lerche“ o niezgruntowanej głębi społecznej i artyzmie, najdoskonalszy z utworów scenicznych Asnyka, poruszający przedmiot zawsze tak żywotny — walki kulturalnej w Poznańskiem; ale owiana niewysłowionym czarem poezyi „Gałązka heliotropu“ powinna stanowić trwały dobytek rozumnie i uczciwie prowadzonego repertuaru.

Zanim wszakże dojdzie do tego, kółko Miłośników sceny dało w ostatnią niedzielę przedsmak tej uczty artystycznej, jaką może stworzyć nam Asnyk. Rzecz prosta, amatorzy, zmuszeni liczyć się z różnymi względami, zniewoleni byli wybrać nie najlepsze z jego utworów, lecz te, które się dało wystawić. Dano więc komedyę dwuaktową „Przyjaciele Hioba“ i komedyjkę w 1 akcie p. t. „Komedya konkursowa. Pierwsza z nich najmniej może ma warunków scenicznych: życie artysty, któremu w chwili nieszczęścia nikt nie chce podać ręki bratniej, bo ci, którzy nazywają siebie jego przyjaciołmi, przychodzą tylko wyzyskać go, litować się lub urągać jego niedoli, nie przedstawia dość silnych przejść dramatycznych. Dyalog snuje się we frazesach okrągłych i rozlewnych, bije z tych słów zapał do sztuki i piękna; poeta-liryk nie zdołał się tu wszakże wznieść do wyżyn napięcia dramatycznego. Przytem najniepotrzebniej rozbił akcyę na dwa akty, dwojąc sceny i powtarzając rozmowy. Jedynie z przedziwnym realizmem, a nie bez uroku poezyi odtworzona postać malarza, Cyganka, w kieliszku szukającego natchnień, które odebrało mu poczucie niemocy duchowej, poczciwego do szpiku kości, pełnego serdecznego wylania dla tych, co nim nie pogardzili, jak inni, wyrzyna się silnie z tła i mimo wiedzy autora staje się bohaterem i osią dramatu. Na scenie amatorskiej znalazł on wybornego przedstawiciela w osobie p. Kotarskiego.

„Komedya konkursowa“ jest gorzką satyrą na stosunki literackie u nas; przedmiotem jej konkurs dramatyczny, na którym pominięto znanego poetę Hugonowskiego, filar przeżytego kierunku poezyi, oddano zaś palmę pierwszeństwa początkującemu młodzikowi; a stało się to trochę przez pomyłkę, trochę przez niesumienność sędziów konkursowych. Amatorzy mieli do spełnienia trudne zadanie. W komedyi tej pełno śmiechu, humoru i karykatury, ale z poza żartu i drwin, przebłyska łezka liryzmu; tymczasem ta nuta na scenie amatorów nie ozwała się ani razu i taki np. Hugonowski wyglądał raczej na pajaca-grafomana, niż na człowieka zajmującego, bądź co bądź, wybitne w piśmiennictwie stanowisko. Jedynie p. Bukaty w przygodnej roli reportera Gazetkiewicza stworzył postać żywą i wypukłą.

Jednocześnie w Rozmaitościach mieliśmy aż dwie premiery: oryginalną i tłomaczoną. Autorem pierwszej p. t. „Piękna ogrodniczka,“ fragment sceniczny w jednym akcie, jest reklamowany od kilku lat przez przyjaciół twórca kilku miernych powieści i nowel, p. St. Krzywoszewski. „Fragment“ to w samej rzeczy ale nie „sceniczny.“ W pierwszej scenie widzimy młode małżeństwo p. Jana i p. Zofię, od pół roku używających słodyczy miodowych miesięcy, w poufnej gawędzie z przyjacielem domu. Przyjaciel opowiada iż kilka miesięcy temu umarła „piękna ogrodniczka,“ jedna z ostatnich zdobyczy miłosnych p. Jana przed ślubem; wiadomość ta nie psuje dobrego humoru towarzystwu i rozmowa toczy się dalej. Aliści, jak piorun z jasnego nieba, spada mąż „pięknej ogrodniczki,“ by rzucić rozbawionym ich hańbę pod nogi i z okrzykiem. „Tfe!... brudy!...“ odejść z poczuciem swej wyższości moralnej. Humor pp. Janostwa stanowczo popsuty, a tak się dobrze dzień zapowiadał! Przedmiot, ograny na wszystkich katarynkach pseudo-społecznych lub pseudo-obyczajowych, a i wykonanie nieszczególne: ani zawiązku, ani akcyi, ani rozwiązania. Z wykonawców wyróżnił się p. Frenkiel, który z niewdzięcznej roli ogrodnika wydobył wiele siły dramatycznej.

Tego samego wieczoru teatr Rozmaitości usiłował rozbawić publiczność dwuaktową „Zagadką“ P. Hervieugo. Jest to błyskotka tej zręczności scenicznej, którą posiadają jedynie Francuzi, ułożeniem przypominająca niemieckie obrazki rebusowe: „Wo ist der Katze?“ Są tu bowiem dwie żony i jeden uwodziciel—która z nich wierna? Zgadnij, zgaduła...

I widz-zgaduła sili się na rozwiązanie tego rebusa scenicznego. Od pierwszej sceny groza potęguje się coraz bardziej, czuć trupa, aż wreszcie misternie zadzierzgnięte węzły rozplątują się z ostatnim wyrazem sztuki. Podobno rzecz ta miała wielkie powodzenie w Paryżu. Do naszego atoli repertuaru nie wnosi ona ani jednego nowego, ożywczego pierwiastku. „Zagadka“ grana była przez naszych artystów po mistrzowsku: pp. Marcello i Lüde w roli żon, pp. Żelazowski i Nowicki w roli mężów, p. Śliwicki jako kochanek i p. Ładnowski jako rezoner stanowili wybornie zespoloną, żyjącą szaradę.

H. Galle.

POEZYE

Czy poznają?

Gdy z pasma życia, co się tak leniwo
Wlecze po wąskiej, podróżnej mej ścieżce,
Już się wysnuje do szczętu przędziwo,

Lub kiedy parki dłoń je przetnie nagle,—
A dusza wolna od materyi oków
Do wyższych lotów rozepnie swe żagle,—

— W którą też stronę, skrzydlata, uleci?
Chyba zawiśnie nad ziemską krainą
Przez całe długie szeregi stuleci.

Wieczyście smutna, iż tylko zdaleka
Na tej ziemicy nędzę patrzeć może
I że nie dzieli niedoli człowieka.

Gdy się wraz z światem skończy ta niedola,
Ach, wtedy może dusza uwolniona
Na Elizejskie pójdzie spocząć pola.

Pójdzie odpocząć w tej cichej przystani,
Do ukochanych wyciągnie ramiona...
Lecz... czy poznają duszę... ukochani?

Cóż gdy w zjawionej biednej, bladej, drżącej
I takiej smutnej—oni nie poznają
Tej duszy, zawsze pogodą tak lśniącej,

Kiedy ją ziemskie więziły łańcuchy,
Którą na ziemi znały i kochały—
Cóż, gdy jej drogie nie poznają duchy?

Mar. Z...

NA MARGINESIE.

Sekretaryat zawodowy w Poznaniu. Od 1 kwietnia r. 1900 istnieje w Poznaniu t. zw. sekretaryat robotniczy, utrzymywany kosztem ogólno-niemieckiej komisyi związków zawodowych, której siedzibą jest Hamburg. Z pierwszego sprawozdania tej instytucyi wyjmujemy kilka następujących cyfr.

W prowincyi poznańskiej, na 4101 robotników ogółem, zatrudnionych u 505 przedsiębiorców, należało do 32 związków zawodowych 980, czyli 24%, w tej liczbie 22 kobiety. Związki te są zresztą, dotychczas przynajmniej, bardzo mało czynne i ruchliwe; w ciągu ubiegłego roku był jeden tylko strejk większy, stolarzy—ale i ten skończył się porażką. Co do warunków pracy, to z ankiety, przeprowadzonej przez sekretaryat, wynika, że długość dnia roboczego waha się między 8½ godzinami (w fabrykach szkła) a 11 godz. w fachu budowlanym na prowincyi, w browarach itd.; metalowcy i krawcy pracują nawet do 14 godzin dziennie. Przeciętnie długość dnia roboczego wynosi 10 godzin. Zarobek roczny przeciętny wynosi 682 marki; najwyższe zarobki mają zecerzy (1307 marek), rzeźbiarze 1200), sztukatorzy (980), introligatorzy (997); najniższe — robotnicy budowlani na prowincyi (450—500 m. rocznie!), robotnicy dzienni (400). Słówko jeszcze mówi sprawozdanie o warunkach mieszkaniowych: na 794 zwiedzonych mieszkań — 24% składało się z jednej izby, 63%—z dwóch, 23% tylko — z trzech.

Urzędnikiem sekretaryatu poznańskiego z ramienia komisyi hamburskiej jest dotychczas Niemiec, Gajewsky. W Poznaniu wychodzi też dwutygodnik *Oświata*, organ ogólno - zawodowy w języku polskim, wydawany również kosztem komisyi hamburskiej; redaktorem jego jest Polak, p. Śremski, zecer z zawodu.

PRASA ROSYJSKA.

Nowoje Wremia pomieściło następującą korespondencyę z Warszawy w sprawie cła nałożonego na książki polskie, drukowane za granicą:

„Niektóre warszawskie firmy księgarskie nie przestają agitować za zniesieniem zaprowadzonych niedawno opłat celnych od przywożonych z zagranicy książek polskich. W gazetach polskich znalazła się nawet wiadomość, że firmy te postarały się, aby rząd austryacki wpłynął na rosyjski o zniesienie rzeczonych opłat. Są to, naturalnie, te firmy, które prowadzą interesy nietylko w Warszawie, ale także w Krakowie i Lwowie. Dopóki rosyjska taryfa celna traktowała książki polskie jako zagraniczne i nie stosowała do nich opłat, poty dla firm tych korzystniej było drukować wydawnictwa swoje w Austryi, gdzie w tym celu posiadały one własne drukarnie. Wiele książek polskich, rozchodzących się wyłącznie prawie w Rosyi, drukowano w Austryi; niektórzy wydawcy, korzystając z tego, że autorowie warszawscy nie mogą w Austryi rozciągać nad nimi kontroli, nabywali prawo drukowania np. 3,000 egzemplarzy, a drukowali od 5—6 tysięcy. Ministeryum skarbu nałożyło obecnie cło od książek polskich na równi z rosyjskiemi, w celu zabezpieczenia interesów drukarzy warszawskich, oraz ze względu na starania drobniejszych księgarzy polskich, których firmy większe, drukując wydawnictwa swoje w Austryi i korzystając z prawa wprowadzania książek swoich do Rosyi bez cła, poprostu rujnowały. Nie można się nie zgodzić na to, że skoncentrowanie spraw wydawniczych polskich w Rosyi stanowi jej interes państwowy. Jeżeli zaś ten lub inny wydawca warszawski zmuszony będzie ponieść koszt przeniesienia drukarni swojej z Krakowa do Warszawy, to ostatecznie wielka z tego szkoda nie wyniknie. Niech korzysta polskie słowo drukowane z możliwie wolnej cenzury, lecz jeżeli cło opłacane jest od zagranicznych książek rosyjskich, to niema zasady znosić go od polskich.“

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Ministeryum spraw wewnętrznych zatwierdziło fundacyę Wacława Mańkowskiego na utworzenie w Warszawie domu pracy dla chłopców nieletnich.

Pomnik Chopina. Warszawska inżenierya miejska uznała za odpowiednie pod budowę pomnika Fr. Chopina place: Teatralny, Warecki, Bankowy i skwer przed gimnazyum VI na Krakowskiem Przedmieściu.

Stypendya. *Warsz. Dniew.* zamieszcza wiadomość o sumach, jakie zapisał J. Bloch na cele dobroczynne; między innemi wspomina o ofierze na stypendya i zapomogi dla studentów instytutu politechnicznego: „katolików, protestantów i żydów.“ Obecnie, jak mówi *Dniewnik*, okazuje się, iż wiadomość ta nie jest ścisłą i że wola zapisodawcy, wyrażona w testamencie własnoręcznym z d. 4 grudnia 1901 r. i w liście urzędowym do zarządu politechnicznego, nie czyni żadnych rozgraniczeń w wyznaniach co do prawa korzystania ze stypendyów i zapomóg, lecz nadaje to prawo „wszystkim urodzonym w Warszawie, bez różnicy wyznania.“

— Wakuje stypendyum artystyczne z zapisu Franciszka Korwin-Szymanowskiego, w sumie 150 rubli rocznie, przeznaczone dla młodzieńca wyznania rzymsko-katolickiego, urodzonego w Królestwie Polskiem, odznaczającego się zaletami moralnemi. Pierwszeństwo przyznane będzie temu, kto w obecności delegowanych członków Towarzystwa sztuk pięknych wykona dobrze pracę na temat oznaczony. Podania wnosić należy do komitetu Tow. sztuk pięk. do d. 8 lutego r. b. Konkurs odbędzie się 10 lutego.

Rozporządzenia urzędowe. Policmajster kijowski polecił komisarzom cyrkułowym i zarządzającym wydziałem śledczym, ażeby przy aresztowaniu na ulicy kobiet prowadzenia podejrzanego, nie popełniano omyłek. Czynność tę wyłącznie pełnić mają starsi dozorcy i agenci doświadczeni; omyłek nie może być żadnych, a ci, którzy się ich dopuszczą, pociągani będą do odpowiedzialności surowej.

- *Mosk. Gub. Wied.* ogłosiły rozporządzenie general-gubernatora moskiewskiego, że wydany d. 17 marca r. z. rozkaz, obowiązujący Moskwę i jej przedmieścia, a dotyczący zebrań ulicznych i schadzek, oraz odpowiedzialności winnych tego w drodze administracyjnej, rozciągnięto na całą gubernię Moskiewską.

— W *Mohylowsk. Gub. Wied.* zamieszczono rozkaz do mieszkańców Mohylowa i Homla, oraz należących do nich przedmieść, według którego zabroniono wszelkich skupiań się i zbierań na ulicach, placach i innych miejscach publicznych i prywatnych, podwórzach i domach, w celu odbywania narad i czynności, naruszających spokój publiczny i porządek, jako też wszelkich nie wywołanych nieodzowną koniecznością stawań i zbierań się na ulicach i placach, bez względu na ich cel. Takież rozporządzenia zamieszczono w organach urzędowych w Wilnie i Witebsku.

Przeciw niemczyźnie. *Gazeta Polska* donosi, iż grono przedstawicieli pierwszorzędnych składów materyałów piśmiennych w Warszawie postanowiło ograniczyć stosunki handlowe z Niemcami. W tym celu nie będą oni nadal przyjmować ofert przedstawicieli firm niemieckich, a materyały pochodzące z Niemiec zastąpią innymi, o czem zawiadomią również swych główniejszych odbiorców. Natomiast postanowiono wystosować odezwę do konsulatów: austryackiego, angielskiego, francuskiego, holenderskiego i włoskiego z prośbą o zachęcenie fabrykantów krajów, których są przedstawicielami, do zawiązania stosunków z tutejszemi firmami papierniczemi i wyrobów galanteryjnych.

Stempel. W celu usunięcia wątpliwości w przedmiocie właściwego stosowania nowej ustawy stemplowej przy naklejaniu marek na rozmaitych rachunkach i dowodach handlowych, ministeryum skarbu wystąpiło z projektem do rady państwa, aby znieść obowiązujący dziś przepis naklejania marek 40-kopiejkowych na dokumentach wartości od 50 do 1000 rb. i zamiast tego zaprowadzić opłatę pięciokopiejkową od każdych stu rubli, aż do wysokości 700, a od 700 do 1000 rb. — 40 kop. Stopniowość powyższa ma być stosowaną tylko do pierwszego tysiąca rubli. Nadto ministeryum skarbu proponuje, aby wielkie firmy mogły opłacać rachunki gotowizną, nie zaś markami, z którego to przywileju korzystają już teraz towarzystwa ubezpieczeń i transportowe.

Zdrowie publiczne. Ponieważ lekarze nadetatowi w szpitalach obowiązani są pełnić obowiązki swe na równi z lekarzami etatowymi, nie pobierając za to żadnego wynagrodzenia, przeto władza lekarska postanowiła wyznaczyć im pensyę w stosunku 75% wynagrodzenia lekarzy etatowych. Reforma ta w szpitalach warszawskich nastąpić ma od 1 lipca r. b.

Gospodarka miejska. Między zarządem miejskim a firmą techniczną Schuckert i Sp. podpisaną została umowa o zaprowadzenie w Warszawie oświetlenia elektrycznego.

Wysyłanie etapem. Postanowiono osoby oddawane przez władze niemieckie, na punkcie granicznym Aleksandrów (stacya kolei Warsz.-Bydg.), szczególnie włościan, którzy udawali się do Niemiec na zarobek, nie odsyłać etapem do miejsca zamieszkania. Jeżeli oso-

by te posiadają jakiekolwiek dowody osobiste, oraz pieniądze na przejazd, to będą uwalniane po wydaniu im świadectwa o przejściu granicy. Osoby, które nie posiadają legitymacyi, lecz mają fundusze i pragną udać się do domu na koszt własny, będą wysyłane nie etapem, lecz pod strażą i wtedy ponosić będą koszty przejazdu konwoju.

Przeciw pojedynkom. We Lwowie, w celu założenia towarzystwa przeciwpojedynkowego, odbyło się zebranie, w którem uczestniczyli przedstawiciele różnych sfer i przekonań. Postanowiono opracować statut załatwiania spraw przez sądy honorowe, oraz zaprowadzić oddziały Towarzystwa na prowincyi.

Księgarnię polską w Moskwie otwiera p. Leon Pietkiewicz.

Koleje i komunikacye. Rząd rosyjski postanowił przeprowadzić studya nad wytknięciem linii kolejowej z Kiachty do Pekinu.

— Zapadła uchwała, na mocy której obowiązująca obecnie na kolejach żelaznych taryfa osobowa pozostaje nadal bez zmiany na odległość 3,010 wiorst, natomiast za każde następne 70 wiorst pobierana będzie opłata po 1 rb. w klasie I, 60 kop. w klasie II i 40 kop w kl. III. Za 10 funtów bagażu 1 i pół kop.

— Linia kolei Kaliskiej na całej długości połączona będzie telefonem.

— Władze zezwoliły na przeprowadzenie studyów w celu połączenia kanałem Wisły pod Włocławkiem z Wartą pod Koninem.

— Zarządy kolejek wązkotorowych Grójeckiej, Wilanowskiej i Wawersko-Jabłonowskiej, wymówiły miejsca całej służbie ruchu i drogowej od d. 1 kwietnia r. b. Przyczyną tego zbiorowego wydalenia ma być podobno zamiar pozostawienia po 1 kwietnia tych tylko oficyalistów, którzy dla zarządu okażą się najbardziej pożyteczni.

Kongresy. Dnia 21—24 lipca r. b. odbędzie się w w Bernie szwajcarskiem ósmy międzynarodowy kongres związku stowarzyszeń dziennikarskich. Delegatami mogą być tylko dziennikarze zawodowi. Celem kongresu będą narady nad sprawami polemiki dziennikarskiej, taryfami pocztowemi i telegraficznemi, słownikiem skróceń telegraficznych, własności literackiej i artystycznej, trybunałem rozjemczym, itd. Dopuszczono 50 kobiet jako gości niezawodowych.

Konkursy. Grono przyjaciół Muzeum narodowego w Krakowie ogłasza za pośrednictwem Towarzystwa „Polska sztuka stosowana" konkurs na *exlibris* dla księgozbioru Muzeum. Prace winny być oryginalne i odpowiednie do reprodukcyi; napis: „Muzeum narodowe." Nagroda 100 koron; termin nadsyłania wzorów oznaczono na 29 lutego r. b.

Rolnictwo. W celu poprawy rasy bydła krajowego opasowego i ułatwienia osobom zainteresowanym zaprowadzenia racyonalnych gospodarstw mlecznych, delegacya hodowlana warsz. oddz. Muzeum przemysłu i rolnictwa postanowiła utworzyć instytucyę instruktorów hodowlanych. Będą oni na żądanie objeżdżać gospodarstwa krajowe i udzielać odpowiednich wskazówek.

Odpowiedzi Redakcyi.

Pani Romanie W. w Łodzi. Kursy takie urządzane są głównie dla nauczycieli i nauczycielek w czasie wakacyjnym. Trwają zwykle krótko i mają głównie na celu uzupełnienie i danie podstaw i odpowiedniego kierunku wiadomościom przez samouctwo zdobytym. W roku zeszłym kursy tak z powodzeniem, jak się zdaje, po raz pierwszy wprowadzono w Krakowie.

Panu L. S. w S. Niech Sz. Pan przeczyta dzieło Ignacego Matuszewskiego „Słowacki i nowa sztuka."

Pani Goreczyńskiej. W r. 1894.

Panu A. Bartar. Nie umiemy radzić Panu. Tłomaczenie ma mnóstwo usterek pod względem rymu, rytmu i jasności. Wogóle, jeśli niema talentu oryginalnego, lepiej dać pokój. Mamy aż nadto wierszorobów.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca **A. Świętochowski.**

Дозволено Цензурою, Варшава 10 Января 1902 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.